

Handwritten signature in gold ink, possibly reading "Dumoy".

95/5502

K

brut

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

KOBIETA
O AKSAMITNYM NASZYJNIKU

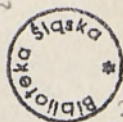
POWIEŚĆ



WARSZAWA
NAKŁADEM BIBLIOTEKI RODZINNEJ
1928

K 71 365
862 314 T

D-95/5502



10.10.

3,00

ROZDZIAŁ 1

RODZINA HOFFMANA

W liczbie uroczych miast rozrzuconych po wybrzeżach Renu, niby ziarna rózańca, którego sznurkiem byłaby rzeka, stoi Manheim, druga stolica wielkiego księstwa Badeńskiego, druga rezydencja wielkiego księcia.

Dziś, kiedy statki parowe dochodzą do Manheimu, kiedy kolej żelazna prowadzi do Manheimu, a strzelanina rewolucyjna zbryzgała krwią jego szatę — nie wiem już, czem jest Manheim; ale w epoce rozpoczynającej to opowiadanie, to jest, lat temu sześćdziesiąt, określeń wam czem ono było.

Było to miasto typowo niemieckie, ciche i polityczne zarazem, nieco smutne, a raczej marzycielskie; było to miasto romansów Augusta Lafontaine'a, poematów Goethego, Henryki Belmann i Werthera.

Dość rzucić okiem na jego domy uczciwie wyrównane, podzielone na cztery kwadraty, na ulice szerokie i piękne, gdzie kiełkuje trawa, na wodotrysk mitologiczny z promenadą, ocienioną dwurzędowymi akacjami, by osądzić, jak życie miłoby było i łatwe w podobnym raju, gdyby namiętności miłosne lub polityczne, nie wkładały tam czasami pistoletu do ręki Werthera, lub sztyletu do ręki Sanda.

Jest tam zwłaszcza miejsce mające charakter szczególny, to, na którem wznosi się kościół i teatr.

Musiały one być wybudowane razem i przez jednego architekta; zapewne w połowie przeszłego wieku, kiedy kaprysy jakiejś faworyty wpływały na artyzm do tego stopnia, że cała jedna część sztuki przybierała jej na-

zwisko, od kościoła, do maleńkiego domku, od posągu brązowego o dziesięciu stopach, do figurki z saskiej porcelany.

Owóz, kościół i teatr Manheimski, są w stylu pompadur.

Kościół ma dwie nisze zewnętrzne, i w jednej z nich stoi Minerwa, w drugiej Hebe.

Nade drzwiami teatru znajdują się dwa sfinksy; jeden z nich przedstawia komedję, drugi tragedję. Pierwszy trzyma pod łapą maskę, drugi sztylet. Na głowach ich włosy układają się szpeciniasto z warkoczem pudrowanym, co się dziwnie nadaje do ich charakteru egipskiego.

Cały wreszcie plac, domy otaczające, drzewa przycinane, mury festonowane, wszystko otacza się tym samym charakterem, i tworzy całość nader wesołą.

Do pokoju jednego z tych domów, na pierwszym piętrze, którego okna skośnie wychodzą na drzwi kościoła Jezuitów, wprowadzimy czytelnika — cofając go do miłościwego lub niemiłościwego lata 1793, w dniu niedzielnym 10 maja. Wszystko więc rozkwita: wodorosty nad brzegiem rzeki, stokrotki na polu, przecze po płotach, róże w ogrodach, miłość w teatrach.

Dodajmy teraz to, że jedno z serc bijących najmocniej w mieście Manheimie i okolicach, znajdowało się w piersi młodzieńca, zamieszkującego niewielki pokój, o którym mówimy.

Pokój i młodzieniec zasługują na opis szczegółowy. Pokój niechybnie znamionował umysł kapryśny i malowniczy, wyglądał bowiem jak pracownia malarska, magazyn muzyczny, i gabinet literacki.

Była w nim paleta, pędzle i stalugi, na stalugach zaczęty szkic.

Była gitara, wiola i fortepian, na fortepianie otwarta sonata.

Było pióro, kałamarz i papier, na papierze nagryzmolony początek ballady.

Następnie, wzdłuż ścian, łuki, strzały, arbalety z piętnastego wieku, narzędzia muzyczne z siedemnastego, szkatułki ze wszystkich wieków, czary wszystkich form, spiniki wszystkich gatunków, nareszcie naszyjniki szklane, wachlarze z piór, wypchane jaszczurki, zasuszone kwiaty; ale wszystko to niewarte dwudziestu talarów bitych.

Mieszkaniec tego pokoju byżeto malarz, muzyk czy poeta? Nie wiemy.

Ale był to niezaprzeczenie palacz; wpośród bowiem wszystkich tych zbiorów, zbiór najkompletniejszy, zajmujący honorowe miejsce w słońcu nad starą kanapą, a tuż pod ręką — stanowiła fajczarnia.

Kimkolwiek on jednak był, poetą, muzykiem, malarzem, czy palaczem, w tej chwili nie palił, nie malował, nie komponował, nie pisał.

On patrzył.

Patrzył nieustannie, stojąc, oparty o mur, powstrzymując oddech; patrzył oknem otwartem z poza firanki, by widzieć, sam będąc niewidzianym; patrzył, jak w chwili, gdy oczy są tylko lunetą serca!

Na co patrzył?

Na miejsce w tej chwili opróżnione, na drzwi kościoła Jezuickiego.

Miejsce to wprawdzie było dlatego opróżnione, że kościół był pełen.

A teraz, jak wyglądał ten mieszkaniec tego pokoju, patrzący z poza firanki, którego serce biło mocniej przy tem wpatrywaniu się?

Był to młodzieniec najwyżej osiemnastoletni, niewielkiego wzrostu, chudy, z wejrzeniem dzikiem. Długie włosy z czoła spadały mu na oczy, zasłaniając je, gdy nie odrzucił czupryny; poza zasłoną włosów wzrok błyszczał nieustannie i bystro, jak u człowieka, którego wiałże umysłowe nie zawsze są w równowadze.

Młodzieniec ten nie był poetą, ani malarzem, ani muzykiem; była to mieszanina tego wszystkiego, całość dziwna, fantastyczna, dobra i zła, odważna i nieśmiała, czynna i leniwa; młodzieńcem tym, słowem, był Ernest Teodor Wilhelm Hoffman.

Urodził się wśród tęgiej zimy 1776 roku, podczas, gdy świszczał wiatr, sypał śnieg, gdy wszystko, co nie bogate, cierpiało. Urodził się w Królewcu, tak słaby, wątkły, tak lichy zbudowany, że wszyscy myśleli prędzej trumnę dlań sprawić, niż kolebkę. Urodził się w tym samym roku, gdy Schiller, pisząc swój dramat „Zbójcy“, podpisał się: „Schiller, niewolnik Klopstocka“. Pochodził z rodziny staromieszczańskiej, jakich wkrótce nie będzie nigdzie. Matka jego była osobą chorobliwego

usposobienia, ale rezygnacji głębokiej, co nadawało jej wygląd miłej melancholji; ojciec odznaczał się postawą i inteligencją surową, był bowiem radcą kryminalnym i komisarzem sprawiedliwości przy wyższym trybunale prowincjonalnym. Około tego ojca i matki przesuwali się stryjowie i wujowie, będący sędziami, intendentami, burmistrzami; ciotki młode jeszcze, ładne jeszcze, zalotne, a wszystko to grało, śpiewało, władało ołówkiem i pędzlem, pełne życia i wesołości.

W domu, gdzie Hoffman przepędził wiek chłopięcy, żyła jedna z sióstr jego matki, młoda kobieta o lubym wzroku i do głębi duszy przenikającym, sprytna i inteligentna, która w chłopcu, uważanym przez wszystkich za manjaka i dziwoląga, dostrzegła umysł świetny. Ona wraz z jego matką, rozumie się, sama jedna gardłowała za nim; przepowiadała mu talent, sławę, co nieraz łyż nasuwało na oczy matki; jako matka, wiedziała bowiem, że nieodłącznym towarzyszem talentu i sławy, jest nie-szczęście.

Była to ciocia Zofja.

Jak cała rodzina, tak i ona zajmowała się muzyką i grała na lutni. Kiedy Hoffman budził się w kolebce, to zalany brzmącą harmonją; gdy otwierał oczy, spostrzegał wdzięczną postać, jakby zrosłą z narzędziem muzycznym. Zazwyczaj ubierała się w suknię wodnego koloru z różowemi wstążkami; towarzyszył jej zwykle do grania stary muzyk o krzywych nogach, w białej peruce, grający na bassetli większej od siebie. Z tego potoku harmonji spadającego kaskadą pereł z pod rąk pięknej Euterpy, wypijał Hoffman czarowny napój, który go samego uczynił muzykiem.

Więc też ciocia Zofja należała do jego najmilszych wspomnień.

Inaczej było ze stryjem. Śmierć ojca i choroba matki pozostawiła go w ręku stryja. Był to człowiek tak dokładny, ile Hoffman roprzężony, tak regularny, ile ten fantastyczny, i którego narów porządku i dokładności wiecznie się ścierał z bratankiem, lecz zawsze daremnie, tak jak daremnie porał się z zegarami umysł Karola piątego; cokolwiekbyś czynił w tym względzie stryj, godzina biła według fantazji bratanka, nigdy według jego.

Pomimo swej dokładności, nie był on wszelako wielkim

wrogiem sztuk i wyobraźni; tolerował nawet muzykę, poezję i malarstwo; ale utrzymywał, że człowiek porządny używać może tego wczasu tylko po obiedzie, dla strawności. Według tego tematu urządził on życie bratanka: tyle godzin na sen, tyle na naukę prawa, tyle na posiłek; tyle minut na muzykę, tyle na poezję, tyle na malarstwo.

Bratanek radby był to odwrócić, i powiedzieć: tyle minut na naukę prawa, a tyle godzin na poezję, malarstwo i muzykę; ale nie był on panem. Wynikło stąd, że Hoffman znienawidził prawo i stryja, i pewnego pięknego dnia umknął z Królewca z kilku talarami w kieszeni, przybył do Heidelbergu, gdzie zatrzymał się chwil kilka, ale gdzie nie mógł pozostać dłużej z powodu złej muzyki, jaką wykonywano w teatrze.

Z Heidelberga więc udał się do Manheimu, którego teatr uchodził za współzawodnika scen lirycznych Francji i Włoch — i zamieszkał w jego sąsiedztwie.

W Manheimie żył z muzyki, malarstwa i poezji, łącząc w to kilka frydrychsdorów, jakie mu niekiedy dobra matka przysyła — a to w chwili, gdy my, przywilejem Djabła kulawego, odśloniliśmy sufit jego pokoju i ukazali go stojącego, opartego nieruchomie o ścianę za firanką, i z powstrzymanym oddechem spoglądającego na portal kościoła Jezuitów.

ROZDZIAŁ II

ZAKOCHANY I SZALENIEC

W chwili, gdy kilka osób wychodzących z kościoła jeszcze przed skończeniem sumy, najżywiej zajmowało uwagę Hoffmana, zastukano do jego drzwi. Młodzieniec wstrząsnął głową i tupnął z pewnem zniecierpliwieniem, ale nie odpowiedział.

Zastukano drugi raz.

Skośny wzrok padł piorunująco na natręta przeze drzwi.

Zastukano trzeci raz.

Na ten raz młodzieniec stał zgoła nieruchomy; widocznie postanowił nie otworzyć.

Ale zamiast upornie stukać, gość wymówił jedno z imion chrześtnych Hoffmana.

— Teodorze! — zawołał.

— A! to ty, Zacharjaszu Wernerze — rzekł zeicha Hoffman.

— Tak, to ja; czy chcesz być koniecznie sam?

— Nie, zaczekaj.

I poszedł otworzyć.

Wszedł młodzieniec wysoki, blady, chudy blondyn, nieco pomieszany, mógł być o trzy do czterech lat starszy od Hoffmana. Przy otwarciu drzwi położył mu rękę na ramieniu, a usta na czole, jakby to czynił starszy brat.

Był też on rzeczywiście dla Hoffmana bratem. Urodzony w tym samym domu co i on, Zacharjasz Werner pszysły twórca „Marcina Lutra“, „Attyli“, „24 lutego“, „Krzyża bałtyckiego“, wyrósł pod podwójną opieką matki własnej i ciotki Hoffmana.

Obie kobiety, dotknięte cierpieniem nerwowem, które

zakończyło się obłąkaniem, przekazały synom tę chorobę która, złagodzona przez przeniesienie, u Hoffmana objawiła się wyobraźnią fantastyczną, u Wenera usposobieniem melancholijnym. Matka tego ostatniego sądziła się być, równie jak Najświętsza Panna, obdarzona pełnomocnictwem boskiem. Syn jej Zacharjasz, miał być nowym Zbawicielem, przyszłym Siloe, obiecany przez pisma. Kiedy spał, ona plotła wieńce z bławatków i niemi otaczała czoło; klękała przed nim, śpiewając swym harmonijnym głosem najpiękniejsze pieśni Lutra, spodziewając się za każdą strofą przemiany wieńca na aureolę.

Obaj chłopcy wychowali się razem. Dlatego to Hoffman od stryja umknął do Heidelberga, że tam Zacharjasz mieszkał, odbywając studja. Nawzajem Zacharjasz, oddając Hoffmanowi przyjaźń za przyjaźń, opuścił Heidelberg i przeniósł się do Manheimu, skoro tamten znalazł tu muzykę lepszą od heidelberskiej.

Ale zszedłszy się w Manheimie, zdala od powagi matczynej, obaj młodzieńcy powzięli chęć podróży, tego nieuniknionego uzupełnienia edukacji studenta niemieckiego, i postanowili zwiedzić Paryż. Werner, z powodu dziwnego widowiska jakie przedstawiała stolica Francji podczas srożącego się w niej wtedy terroryzmu; Hoffman, dla porównania muzyki francuskiej z włoską, a zwłaszcza dla wystudjowania środków opery francuskiej pod względem wystawy i dekoracji, gdy wtedy już powzwał myśl, którą piastował całe życie, zostania dyrektorem teatru.

Werner, wolnomyślny z temperamentem, chociaż religijny przez wychowanie, liczył też jednocześnie na przyjemność z tej dziwnej wolności obyczajów, jaka grasowała w r. 1793, i której jeden z jego przyjaciół, świeżo wróciwszy z Paryża, dał mu opis tak ponętny, że zawrócił głowę zmysłowemu studentowi.

Hoffman zaciekał się do muzeów, o których opowiadano mu cuda, a nosił już myśl porównania malarstwa włoskiego z niemieckim.

Jakiegokolwiek wreszcie mogły być jeszcze pobudki tajemne obu przyjaciół, obaj zarówno pragnęli zwiedzić Francję.

Do urzeczywistnienia tych życzeń, brakło im jednej tylko rzeczy: pieniędzy. Ale szczególnym zbiegiem oko-

liczności, Zacharjasz i Hoffman otrzymali jednego dnia od swych matek po pięć frydrychsdorów.

Dziesięć frydrychsdorów, czyli prawie dwieście franków, była to piękna sumka dla dwóch studentów, którzy z wiktem, mieszkaniem i opałem, wydawali po pięć talarów na miesiąc. Ale było to zamało dla odbycia owej wielkiej podróży.

Przyszła jedna myśl młodzieńcom, a ponieważ przyszła im do głowy razem, wzięli ją za natchnienie z nieba: oto, żeby pójść do domu gry i zaryzykować po pięć frydryków. Boć ani myśleć, żeby za dziesięć tych sztuk, odbyć taką podróż, a ryzykując ją, można było wygrać sumę do odbycia podróży choćby naokoło świata.

Co umyślili, to wykonali: zbliżała się pora zdrojowisk, i od dnia 1 maja domy były otwarte; Werner i Hoffman wstąpili do jednego z nich.

Werner spróbował pierwszy i w pięciu pociągnięciach przegrał wszystkie pięć sztuk. Przyszła kolej na Hoffmana. Ze drzeniem postawił pierwszą sztukę, i wygrał.

Zachęcony tym początkiem, podwoił stawkę. Był przy wienie; wygrywał cztery razy na pięć, a był jednym z tych młodzieńców, którzy mają ufność w fortunie. Zamiast się namyślać, szedł śmieje z parolu na parol; można było mniemać, że go wspiera jakaś moc nadprzyrodzona, bez żadnej obmyślanej kombinacji, bez żadnego rachunku, rzucał złoto na kartę, złoto mnożyło się dwakroć, trzykroć, pięćkroć.

Zacharjasz, drżący jak w febrze, błądy jak widmo, podszeptywał: — „Dosyć, Teodorze, dosyć“; — ale gracz szydził z tej dziecinnej obawy. Złoto czepiało się złota, wyradzało złoto. Nareszcie uderzyła druga godzina ranna, godzina zamknięcia zakładu, gra ustała; dwaj młodzieńcy nie licząc, zabrali każdy po kupie złota. Zacharjasz, nie mogąc uwierzyć, aby cała ta fortuna była jego własnością, wyszedł pierwszy. Hoffman miał iść za nim, kiedy jakiś stary oficer, który nie tracił go z oczu podczas całego grania, zatrzymał go na progu.

— Młodzieńcze — rzekł kładąc mu rękę na ramieniu i bystro patrząc w oczy — jak będziesz szedł tak dalek, robijesz bank, przyznaję; ale jak bank runie, ty staniesz się tem pewniejszą pastwą dla szatana.

I, nie czakjąc odpowiedzi Hoffmana, znikł. Ten od-

szedł również, ale nie był już tym samym. Przepowiednia starego żołnierza ochłodziła go jak zimna kąpiel, a złoto przepelniające jego kieszenie, ciążyło mu. Zdawało mu się, że dźwiga ciężar swych nieprawości.

Werner czekał go radosny. Obaj wrócili razem do mieszkania Hoffmana, jeden śmiejąc się, tańcząc, śpiewając, drugi zamyślony, prawie ponury. Obaj weszli postanowili wyjechać nazajutrz wieczorem do Francji. Pożegnali się uściskiem.

Hoffman pozostawszy sam, obrachował złoto. Miał pięć tysięcy talarów, około dwudziestu trzech tysięcy franków.

Namyślał się długo nad jakimś postanowieniem. Podczas tego namysłu przy świetle lampy miedzianej, rozjaśniającej pokój, twarz jego była blada, czoło zwilżone potem.

Na każdy szelest koło siebie, choćby tak nieznaczny jak szum skrzydeł muszki, Hoffman drgał, obracał się, i patrzył dokoła z przestachem wieszczą z Fausta, i zdawało mu się, że widzi na progu drzwi gryzącego szczura, a we framudze okiennej czarnego kundla.

Nareszcie zdecydował się.

Odsunął tysiąc talarów, które uważał za nieodzownie potrzebne na podróż, pozostałe cztery tysiące opakował; następnie na paczce, lakiem przylepił kartkę z napisem:

„Do wielmożnego pana burmistrza miasta Królewscą, dla rozdzielenia pomiędzy najuboższe rodziny w mieście“.

Potem, rad ze zwycięstwa odniesionego nad samym sobą, odświeżony tem co uczynił, rozebrał się, położył, i spał jednym ciągiem do godziny siódmej nazajutrz.

Po zbudzeniu, spojrział najsamprzód na tysiąc talarów widzialne i cztery tysiące zapieczętowane. Zdawało mu się, że to był sen.

Widok przedmiotów upewnił go o rzeczywistości tego, co mu się wydarzyła wczoraj.

Ale co było nadewszystko rzeczywistością dla Hoffmana, choć w nieobecności przypominającego mu ją — to przepowiednia starego oficera.

Bez żadnego też żalu ubrał się jak zazwyczaj i, wzięwszy cztery tysiące talarów pod pachę, sam zaniósł je na dyliżans królewiecki, zamknawszy poprzednio pozostały tysiąc na klucz w szufladzie.

Potem, ponieważ obaj przyjaciele mieli razem tegoż

wieczora odjechać do Francji, Hoffman zaczął robić przygotowania do podróży.

Chodząc, wracając, czyszcząc surduty, gładząc koszulę wybierając chustki do nosa, Hoffman wyjrzał oknem na ulicę i pozostał w pozie, w jakiej go widzieliśmy.

Młoda, 16 lub 17 letnia dziewczyna, prześliczna, obca zapewne w Manheimie, bo Hoffman nie znał jej wcale, szła z przeciwnej strony ulicy ku kościołowi.

Hoffman w swych marzeniach poety, muzyka, i malarza, nic nigdy podobnego nie widział, ani nawet spodziewał się ujrzeć. Jednakże z tej odległości widział zachwycającą całość, szczegóły były mu niedostępne.

Za dziewczyną szła stara służąca. Obie wstąpiły wolno po schodach kościoła i znikły w kruchcie.

Hoffman porzucił tłumok napół upakowany, frak barwy osadu winnego napół oczyszczony, surdut z potrzebami napół złożony, i stanął nieruchomy za firanką.

Tam to zastaliśmy go, czekającego na wyjście tej, którą widział wchodzącą.

Bał się tylko jednej rzeczy: aby to czasem nie był anioł, i zamiast wyjść przez drzwi, nie wyniósł się oknem, by wzlecieć ku niebu.

W tej to ujęliśmy go sytuacji, a po nas ujął go Zacharjasz Werner.

Nowoprzybyły, jak powiedzieliśmy, położył mu jednocześnie usta na czole, a rękę na ramieniu. Potem głęboko westchnął.

Lubo Zacharjasz Werner był zawsze bardziej blady, dziś jednak jeszcze bledszy był, niż zwykle.

— Cóż ci jest? — zapytał go Hoffman z istotnym niepokojem.

— Och! mój bracie! — zawołał Werner. — Jestem rozbójnikiem! nędznikiem! wartem śmierci... rozwal mi głowę toporem... serce przebij mi strzałą. Nie godnym już oglądać światła słonecznego.

— No! no! — odrzekł Hoffman z łagodnym roztargnieniem człowieka szczęśliwego — cóż to się stało, mój bracie?

— Stało się... Co się stało, pytasz?... chcesz wiedzieć, co się stało?... Otóż mój drogi, kusił mnie djabeł.

— Jakto?

— Kiedym zobaczył wszystko moje złoto dziś rano, było go tyle, iż myślałem, że to sen.

— Jakto! sen?

— Był go pełen stół, cały założony — mówił dalej Werner. — Jakem to zobaczył, to majątek, mój drogi, tyśiąc frydrychów złotych. Otóż, kiedym to wszystko zobaczył, kiedym ujrzał z każdej sztuki tryskający promień, ogannał mną szal, nie mogłem mu się oprzeć, wziąłem trzecią część mego złota, i poszedłem grać.

— I przegrałeś?

— Do ostatniego grajcara.

— To jeszcze niewielkie nieszczęście, skoro pozostają ci jeszcze dwie trzecie.

— Żebyż to!... Poszedłem po drugą część, i...

— Przegrałeś ją tak jak i pierwszą.

— Prędej jeszcze, mój drogi, prędzej.

— I poszedłeś po trzecią część?

— Nie poszedłem, poleciałem; wziąłem pozostały tyśiąc pięćset talarów i straciłem je na czerwona.

— A wtedy wyszła czarna — rzekł Hoffman.

— Ah! czarnusieńka, jak piekło, mój drogi; czarna, potworna, bez wahania, bez zgryzot, jak gdyby wychodząc, nie pozbawiała mnie ostatniej nadziei! Wyszła! wyszła! mój bracie!

— A tobie żal tych frydrychów tylko z powodu podróży?

— Nie z żadnego innego. Oh! gdybym był przynajmniej jakie pięćset talarów odłożył na wyjazd do Paryża!

— To byś się pocieszył po stracie reszty?

— Odrazu.

— Niechże i tak będzie mój drogi Zacharjaszu — rzekł Hoffman, prowadząc go do swej szuflady — oto masz pięćset talarów; jedź.

— Jakto? A ty? — zawołał Werner.

— Ja nie wyjeżdżam.

— Jakto nie wyjeżdżasz?

— Przynajmniej nie w tej chwili.

— Ależ dlaczego? z jakiej przyczyny? kto ci przeszkadza? co cię zatrzymuje w Manheim?

Hoffman żywo pociągnął przyjaciela do okna. Zaczęto wychodzić, nabożeństwo się skończyło.

— Patrz, patrz — rzekł wskazując palcem Wernerowi kogoś wychodzącego.

Jakoż, młoda nieznajoma ukazała się na wysokości portalu, schodząc z wolna po schodach, z książką modlitewną wspartą na piersiach, z głową spuszczoną, skromna i zamysłona jak Małgorzata Goethego.

— Czy widzisz ją? czy widzisz? — rzekł Hoffman.

— Widzę.

— I cóż mówisz?

— Mówię, że niema na świecie kobiety, dla którejby warto poświęcić podróż do Paryża, choćby to nawet była piękna Antonina, córka starego Murra, nowego dyrektora orkiestry teatru Manheimskiego.

— Znasz ją więc?

— Znam.

— I ojca jej?

— Był dyrektorem orkiestry w teatrze Frankfurckim.

— Czy możesz mi dać do niego list?

— I owszem.

— To siadaj tu, Zacharjaszu, i pisz.

Zacharjasz usiadł i napisał.

W chwili wyjazdu do Francji, polecał swego młodego przyjaciela, Teodora Hoffmana, staremu przyjacielowi swemu, Bogumiłowi Murr.

Hoffman zaledwie dał czas Zacharjaszowi do dokończenia listu; po podpisaniu, wziął mu go z ręki, a uściśnawszy przyjaciela, wybiegł z pokoju.

— Jak sobie chcesz! — krzyknął za nim po raz ostatni Zacharjasz Werner — przekonasz się, że niema kobiety, niewiedzieć jak pięknej, dla której możnaby zaniedbać podróż do Paryża.

Hoffman usłyszał słowa przyjaciela, ale nie uważał za właściwe nawet obejrzeć się, by mu odpowiedzieć, choćby znakiem zgody, lub niezgody.

Zacharjasz Werner zaś włożył do kieszeni swe pięćset talarów i, aby się już nie dać skusić szatanowi grzy, biegł tak prędko do biura pocztowego, jak Hoffman do domu starego dyrektora orkiestry.

Hoffman pukał do drzwi mieszkania Bogumiła Murra w tejże samej chwili, kiedy Zacharjasz Werner wsiadał do dyliżansu strasburskiego.

ROZDZIAŁ III

MISTRZ BOGUMIŁ MURR

Sam dyrektor osobiście otworzył mu drzwi.

Hoffman nigdy nie widział mistrza Bogumiła Murra, poznał go jednak.

«Człowiek ten, jakkolwiek dziwacznie wyglądający, nie mógł być nikim innym, tylko artystą, i to wielkim artystą.

Był to starzec sześćdziesięcioletni, z jedną nogą skrzywioną, lecz niebardzo na nią kulejący, podobny do korkociąga. Idąc, a raczej podskakując, i wyprzedzając gość wprowadzanych do siebie, stawał, wykręcał się na skrzywionej nodze, co wydawało się, jakby chciał świder zapuścić w ziemię — i szedł dalej.

Idąc za nim, Hoffman przygądał się mu i rył sobie w umyśle jeden z tych fantastycznych i dziwotwornych konterfektów, których tak kompletną galerję dał nam w swoich dziełach.

Oblicze starca było entuzjastyczne, dowcipne i rozumne zarazem, okryte skórą pergaminową, wycętkowaną czerwono i czarno, jak karta chorału. Pośrodku tej dziwnej facjaty błyszczało dwoje żywych oczu, których ostry wyraz tem snadniej można było ocenić, że okulary nie zdejmowane nigdy, nawet podczas snu, zawsze trzymały się na czole, lub spuszczone były na koniec nosa. Wtedy tylko gdy grał na skrzypcach, podnosząc głowę i patrząc z oddali, zużytkowywał ten mały przyrząd, zdający się być u niego raczej przedmiotem zbytku, niż potrzeby.

Głowa jego była łysa i wiecznie okryta czarną krymką, tworzącą część dopełniającą jego osobę. Dniem i nocą mistrz Bogumił ukazywał się nawiedzającym w tej krym-

ce. Tylko wychodząc, nakładał na nią małą peruczkę *à la Jean Jacques*. Nie potrzebujemy dodawać, że mistrz Bogumił nie troszczył się nigdy i bynajmniej o tę część aksamitu, wychodzącą z pod fałszywych włosów, która mając więcej powinowactwa z kapeluszem, niż z głową, towarzyszyła kapeluszowi w jego wycieczce powietrznej, ilekroć mistrz Bogumił kłaniał się komu.

Hoffman spojrział dokoła i nie spostrzegł nikogo.

Szedł więc za mistrzem Bogumiłem, idącym przed nim, dokąd ten chciał go zaprowadzić.

Mistrz Bogumił zatrzymał się w wielkim gabinecie pełnym nagromadzonych partytur i kart muzycznych; na stole leżało z dziesięć, lub dwanaście pudełek mniej więcej ozdobnych, tego kształtu, na którym nigdy się nie myli muzyk: były to futerały skrzypcowe.

W tej chwili mistrz Bogumił zajęty był wystawieniem w teatrze Manheimskim opery Cimarosy: *Il matrimonio segreto*, próbując, czy się nie uda zaszcześcić muzyki włoskiej.

Smyczek, niby berło Arlekina, zasadzony miał za pas, raczej za zapięcie od spodni; pióro dumne sterczało mu za uchem, a palce poczernione były atramentem.

Temi palcami wziął list podany przez Hoffmana, a rzucając okiem na adres i poznając pismo:

— Ah! Zacharjusz Werner — rzekł — poeta, ale szuler.

Potem, jak gdyby przymiot łagodził wagę dodał: Szuler, bo szuler; ale poeta!

Odpieczętowawszy wreszcie list:

— Wyjechał? doprawdy? wyjechał — rzekł.

— Wyjeżdża prawie w tej chwili.

— Niechże go Bóg prowadzi! — dodał Bogumił wznosząc oczy do nieba, jakby duszę jego polecając Bogu. — Ale dobrze robi, że wyjeżdża. Podróże kształcą młodzież; i ja gdybym nie podróżował, nie byłbym poznał nieśmiertelnego Pasiella, boskiego Cimarosy.

— Ale niemniej znałby pan ich dzieła — rzekł Hoffman.

— Dzieła ich, zapewne, ale co to znać dzieło bez mistrza? to znać duszę bez ciała; dzieło, to widmo; dzieło, jest tem, co zostaje po naszej śmierci. Ale ciało, widzisz pan, jest tem, co żyło; nigdy całkowicie nie poznasz dzieła człowieka, jeśliś nie znał go samego.

Hoffman skinął głową potwierdzająco.

— To prawda — rzekł — ja sam należycie oceniłem Mozarta wtedy dopiero, kiedy go zobaczyłem.

— Tak, tak — odrzekł Bogumił — Mozart ma wartość; ale dlaczego ma wartość? dlatego, że podróżował we Włoszech. Muzyka niemiecka, młodzieńcze, to muzyka ludzi; ale pamiętaj to dobrze, muzyka włoska jest muzyką bogów.

— Nie we Włoszech to jednak — odparł Hoffman z uśmiechem — Mozart utworzył „Zaślubiny Figara“ i „Don Juana“, skoro jedno skomponował w Wiedniu dla cesarza, a drugie w Pradze dla teatru włoskiego.

— Istotnie, młodzieńcze, istotnie, i miło mi widzieć w tobie tego ducha narodowego, który staje w obronie Mozarta. Zapewne, gdyby nieborak był żył i odbył jeszcze kilka podróży po Włoszech, byłby to mistrz, i bardzo wielki mistrz. Ale te „Zaślubiny Figara“ i ten „Don Juan“, o których mówiono, na czym on je zrobił? Na liberttach włoskich, na słowach, pod blaskiem słońca Bolonji, Rzymu lub Neapolu. Wierzaj mi, młodzieńcze, słońce to trzeba widzieć, trzeba je uczuć na sobie, by je według wartości ocenić. Oto i ja opuściłem Włochy przed czterema laty, od czterech lat drzę z zimna, wyjąwszy, gdy myślę o Włoszech, samo już myślenie rozgrzewa mnie, nie potrzebuję brać płaszcza, kiedy myślę o Włoszech, nie potrzebuję odzieży, nawet tej krymki. Wspomnienie ożywia mnie, o! muzyko Bolonji! o, słońce Neapolu, o!...

Twarz starca przybrała wyraz najwyższej błogości, i po całym ciele zdawał się przechodzić rozkoszny dreszcz, jak gdyby potoki południowego słońca, spływające mu na głowę, spływały mu z tysego czoła na ramiona, a z ramion na całe życie.

Hoffman nie wprowadzał go z tej ekstazy, skorzystał z niej tylko, by spojrzeć dokoła siebie, spodziewając się wciąż zobaczyć Antonję. Ale drzwi były pozamykane, i z poza tych drzwi nie dolatywał żaden szelest, mogący świadczyć o bytności istoty żyjącej. Musiał więc znowu zwrócić się do mistrza Bogumiła, którego ekstaza powoli ustępowała, i zakończyła się pewnego rodzaju dreszczem

— Brrrrr! młodzieńcze powiadasz więc?

Hoffman drgnął.

— Powiadam, mistrzu Bogumile, że przychodzę z rek-

mendacji przyjaciela mojego, Zacharjasza Wenera, który wiele mi mówił o waszej dobroci względem młodzieży, a ja jestem muzykiem.

— Aha, jesteś muzykiem?

I Bogumił wstał, podniósł głowę, rzucił nią w tył, i poprzez okulary, chwilowo zapadłe na kończyny nosa, spojrział na Hoffmana.

— Tak, tak — dodał — głowa muzyka, czoło, oko muzyka; a czemu pan jesteś? kompozytorem, czy instrumentalistą?

— I jednym i drugim, mistrzu Bogumile.

— Jednym i drugim! — rzekł mistrz Bogumił — jednym i drugim? Że też to ta młodzież nigdy o niczem nie wątpi! Trzebaby całego życia człowieka, dwóch ludzi, trzech ludzi, ażeby zostać jednym, lub drugim! A oni są jednym i drugim!

Obrócił się wznosząc ręce do nieba, i zdając się zagłębiać w podłogę grajcarek swej prawej nogi. A po wykonaniu tego pirueta, zatrzymał się przed Hoffmanem.

— Cóż tedy, zarozumiałcze — zapytał — uczyniłeś w zakresie kompozycji?

— Pisałem sonety, śpiewy religijne, kwintety.

— Sonety po Sebastjanie Bachu! śpiewy religijne po Pergolesie, kwintety po Franciszku Józefie Heydnie! Ah, młodzieńcze! młodzieńcze!

Potem z uczuciem głębokiej litości:

— A jako instrumentalista — mówił dalej, — na jakim grywasz instrumentcie?

— Prawie na wszystkich, a głównie na skrzypcach.

— Doprawdy? — rzekł mistrz Bogumił — doprawdy? zrobiłeś ten zaszczyt skrzypcom? A! to wielkie szczęście dla tego instrumentu. Ależ nieszczęśliwy! — dodał, skokami przysuwając się do Hoffmana na jednej nodze dla pośpiechu — czy ty wiesz, co to są skrzypce? Skrzypce!

I mistrz Bogumił bujał się na tej jednej nodze, o której mówiliśmy, gdy druga, jak u żórawia, pozostała w powietrzu.

— Skrzypce! ależ to najtrudniejszy instrument. Skrzypce wymyślił sam szatan dla męczarni człowieka, wtedy, gdy już mu na inne męczarnie konceptu nie stało. Przez skrzypce szatan więcej dusz zgubił, niż przez wszystkie

siedem grzechów głównych. Jeden tylko nieśmiertelny Tartini, mój mistrz, mój bohater, on tylko jeden osiągnął doskonałość na skrzypcach; ale też on tylko jeden wie, co go kosztowało na tym świecie i na tamtym to, że raz grał przez całą noc na skrzypcach samego szatana, i że zachował sobie jego smyczek. Oh! skrzypce! czy wiesz, nieszczęsny bluźnierco, że instrument ten pod swą, prawie nędzną prostotą, zawiera najbardziej niewyczerpane skarby harmonji, jakie człowiek może wypijać z kielicha bogów? Badałeś też ty to drzewo, te struny, ten smyczek, to włosie, włosie mianowicie? Spodziewasz-że się zebrać, zjednoczyć, ugiąć pod palcami tę całość cudowną, która od dwóch wieków opiera się wysiłkom najuczciwszym, którzy żali się, jęczy, skacze pod palcami grajka, śpiewała tylko pod palcami nieśmiertelnego Tartiniego, mojego mistrza? Biorąc pierwszy raz do ręki skrzypce, czy pomyślałeś co czynisz, młodzieńcze? Ale nie jesteś pierwszym— dodał mistrz Bogumił z westchnieniem, dobytym z głębi wnętrzości — i nie będziesz ostatnim z tych, których zgubiły skrzypce, ta wiekuista pokusa. Ej! lepsi od ciebie wierzyli w swe powołanie, a postradali życie, drąc baranie kiszki; i ty powiększysz liczbę tych nieszczęśliwych, tak mnogich, tak nieużytecznych społeczeństwu, tak nieznośnych bliźniemu.

Potem odrazu, bez żadnego przejścia, chwytając skrzypki i smyczek, jak fехmistrz chwytą dwa florety, i podając Hoffmanowi:

— Ano! — rzekł głosem wyzywającym — zagraj mi co, zagraj, a ja ci powiem, dokądś zaszedł; a jeżeli czas jeszcze do wyciągnięcia ciebie z przepaści, wyciągnę, tak jak wyciągnąłem biednego Zacharjasza Wenera. On także grał na skrzypcach; grał z zawziętością, wściekłe Marzyły mu się cuda, alem ja mu otworzył głowę. Potrącił skrzypki na drobne kawałki i podpalił niemi w piecu. Potem dałem mu do ręki basetkę, i to go ostatecznie uspokoiło. Tam znalazło się miejsce dla jego długich i chudych palców. Z początku przerabiał niemi milę na godzinę, a teraz, teraz, zagra nienajgorzej na imieniny wuja, gdy tymczasem na skrzypcach mógłby być grać tylko na imieniny djabła. No, dalej, młodzieńcze, oto skrzypce, pokaż mi co umiesz?

Hoffman wziął skrzypce i oglądał.

— Tak, tak, — rzekł mistrz Bogumił — oglądasz, czyja jest, tak jak smakosz wacha wino, które ma pić. Szczypnij strunę, jedyną; a jeśli ci ucho nie powie nazwiska tego, co te skrzypki zrobił, niegodzienieś jej dotknąć.

Hoffman uszczypnął strunę, która wydała dźwięk brzmiący, długi drgający.

— To Antoni Stradivarius?

— A no nieźle; ale z jakiej epoki Stradivariususa? Na przykład? On dużo skrzypek narobił od 1698 do 1728.

— A! co do tego, wyznaję swą nieświadomość — rzekł Hoffman — i zdaje mi się niepodobieństwem...

— Niepodobieństwem, bluźnierco! niepodobieństwem! to tak, jakbyś mówił, że niepodobieństwem jest poznać wiek wina po smaku. Posłuchaj, jak dziś mamy 10 maja 1793 roku, tak skrzypce te wykonane zostały podczas podróży, którą wielki Antonio odbył z Kremony do Mantui w r. 1705, gdzie pozostawił pracownię swemu pierwszemu uczniowi. To też widzisz, ten oto Stradivarius, rad ci to mogę powiedzieć, jest trzeciorzędny; ale i ten, zdaje mi się, jeszcze będzie za dobry dla takiego terminatora, jak ty.

Hoffman przyłożył skrzypce do ramienia i nie bez żywego bicia serca, począł warjacje na temat z „Don Juana“.

La ci darem la mano.

Mistrz Bogumił stał przy Hoffmanie, wybijając takt głową i końcem krzywej nogi. W miarę jak Hoffman grał, twarz mistrza się ożywiała, oczy nabierały blasku, szczęka wyższa przygrazała niższą, a z obu stron tej szczęki spłaszczonej, wychodziły dwa zęby, które w położeniu zwyczajnem zakrywać miała, wychodziły one teraz jak kły odyńca. Nareszcie allegro, z którego Hoffman wyszedł dość zwycięsko, zjednało mu ze strony mistrza Bogumiła poruszenie głowy, podobne do znaku pochwały.

Hoffman zakończył brawurą, która wydawała mu się jedną z najświetniejszych, ale ta, zamiast zadowolić starego muzyka, wywołała w nim straszne skrzywienie.

Oblicze jego zwolna jednak się wypogodziło, i klepiąc młodzieńca po ramieniu:

— No, no — rzekł — nie jest tak źle jak myślałem. Jak

zapomnisz tego wszystkiego czegoś się nauczył, jak zaniechasz tych modnych skoków, jak będziesz oszczędnie używał tych krzykliwych nacisków na struny, to można będzie coś z ciebie zrobić.

Pochwała ta ze strony człowieka tak wymagającego, jak stary muzyk, uniosła Hoffmana. Nie zapomniał przysięg, lubo pławiący się w oceanie muzycznym, że mistrz Bogumił jest ojcem pięknej Antonji.

Chwytając też w lot słowa wypadłe z ust starca:

— A któż się podejmie zrobić coś ze mnie? — zapytał — czy to wy, mistrzu Bogumile?

— Czemużby nie, młodzieńcze? czemużby nie, jeżeli zechcesz posłuchać starego Murra?

— Będę was słuchał, mistrzu, ile tylko chcecie.

— Och! — wyrzekł starzec cicho i melancholijnie, bo wzrok jego sięgnął w przeszłość — znałem ja wielu wirtuozów: Znałem Corelliego, prawda w tradycji; on to otworzył drogę, trzeba grać na sposób Tartiniego, lub się wyrzec. Tartini pierwszy odgadł, że skrzypce są jeżeli nie bogiem, to przynajmniej świątynią, z której może wystąpić bóg muzyki. Po nim przychodzi Paganini, skrzypek niczego, inteligentny, ale miękki, za miękki, zwłaszcza w niektórych *appogiamenti*; potem Germiniani, o! ten silny, lecz silny swawolnie, bez przejść. Byłem umyślnie w Paryżu aby go usłyszeć, tak jak ty wybierasz się do Paryża dla usłyszenia Opery, to manjak, lunatyk, mój przyjacielu, człowiek, który poruszał się jak we śnie, który rozumiał nieźle *tempo*, fatalne *tempo rubato*, zabijając więcej instrumencistów niż ospa, żółta febra, morowa zaraza! Więc ja mu zagrałem moje sonety na sposób nieśmiertelnego Tartiniego, i wtedy uznał swój błąd. Niezszczęściem, uczeń tonął po szyję w swojej metodzie; no, miał biedak siedemdziesiąt jeden lat. O czterdzieści lat wcześniej byłbym go uratował, tak jak chciałem ratować Giardiniego, było jeszcze dość wcześnie, ale na nieszczęście był on niepoprawny. Djabeł wszedł mu w lewą rękę, i pędził, pędził tak, że *prawa nie mogła* za nią zdążyć, gra jego też, był to taniec Świętego Wita. Raz też, kiedy w obecności Jomell'ego zepsuł jakiś wspaniały numer, pocziwy Jomelli, człowiek najłagodniejszy w świecie, tak go rznął w papę, że Giardini miał twarz spuchniętą przez miesiąc, a Jomelli pięść zwichniętą przez trzy tygo-

dnie. To tak jak Lulli, warjat, istny warjat, tancerz na linie, skoczek, któremu zamiast smyczka, należało dać w rękę drąg równoważniczy. Niestety! — zawołał boleśnie starzec — mówię to z głęboką rozpaczą, z Nardinim i ze mną wygaśnie piękna sztuka grania na skrzypcach; ta sztuka za pomocą której mistrz nasz powszechny, Orfeusz, przyciągał zwierzęta, poruszał kamienie i budował miasta. Zamiast budować, jak skrzypce boskie, my rozwalamy jak trąby przeklęte. Jeżeli Francuzi wejdą kiedy do Niemiec, to dla zwalenia murów Filipsburga, który tyle razy oblegali, dość im będzie kazać przed jego bramami zagrać koncert przez czterech znajomych mi skrzypków.

Starzec odetchnął i dodał łagodniej:

— Wiem, że jest Viotti, jeden z moich uczniów, chłopiec pełen zdolności, ale niecierpliwy, wybujały, lekceważący prawidła. Co do Żarnowieckiego, jest to pyszałek i ignorant, a pierwsza rzecz jaką powiedziałem mojej Elżbiecie, to, że gdy usłyszy nazwisko to pod moimi drzwiami, żeby je czemp prędzej zamknęła. Elżbieta bawi przy mnie trzydzieści lat; otóż, powiadam ci, młodzieńcze, wypędzę Elżbietę, jeżeli wpuści do mnie Żarnowieckiego: sarmata, welsz, który pozwolił sobie mówić lekceważąco o mistrzu nad mistrzami, o nieśmiertelnym Tartinim. Oh! temu, kto mi przyniesie głowę Żarnowieckiego, przyrzekam udzielić lekcji i rad, wiele zechce. Co do ciebie, mój chłopcze — mówił dalej starzec, zwracając się do Hoffmana — nie jesteś ty silny, to prawda, ale Rode i Kreutzer, moi uczniowie, nie byli silniejsi od ciebie. Ty, przychodząc do mistrza Bogumiła, i to z zaleceniem tego warjata Zacharjasza Wenera, który mnie zna i ceni, ty dajesz poznać, że w twej piersi bije serce artysty. Otóż, młodzieńcze, teraz już nie Stradivariususa dam ci w rękę; nawet nie Gramuła, tego starego majstra, którego nieśmiertelny Tartini cenił tak wysoko, że zawsze grywał tylko na Gramulach; nie, ja chcę cię słyszeć grającego na Antoniu Amati, na przodku, na pniu pierwotnym wszystkich skrzypek, na instrumencie, który będzie posagiem córki mojej, Antonji. Jest to łuk Ulisesa, widzisz, a kto zdoła naciągnąć łuk Ulisesa godnym jest Penelopy.

Wtedy starzec otworzył puzderko aksamitne złotem wykładane i wydobył zeń skrzypce, jakie zdawałoby się,

nie powinny istnieć nigdy, i jakie może sam Hoffman pamiętał na fantastycznych koncertach swych prawujących i praciotek. Potem mistrz Bogumił schyliwszy się nad czcigodnym instrumentem, i podając go Hoffmanowi:

— Weź — rzekł — i staraj się nie być zbyt ich megodnym.

Hoffman skłonił się, wziął instrument z szacunkiem i począł stary etiud Sebastjana Bacha.

— Bach, Bach — szepnął Bogumił — do organów ujdzie, ale na skrzypcach nie znał się. Lecz nic nie szkodzi.

Przy pierwszym dźwięku, jaki wydobył z instrumentu, Hoffman drgnął; wyborny bowiem muzyk zrozumiał, jaki skarb harmonji podano mu w rękę.

Smyczek podobny do łuku — tak zakrzywiony — pozwalał grającemu obejmować wszystkie cztery struny naraz, a ostatnia z tych strun wznosiła się do niebiańskich tonów tak cudownych, iż Hoffman nie sądził nigdy, ażeby tak boski dźwięk mogła ludzka ręka zbudzić.

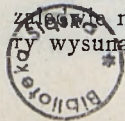
Przez ten czas starzec stał przed nim z głową odrzuconą w tył, oczyma mrugającemi, mówiąc za całą zachętę:

— Nieźle, nieźle, młodzieńcze; prawa ręka! prawa ręka! lewa, to tylko ruch, prawa, to dusza. Duszy! duszy! duszy!

Dobrze czuł Hoffman, że stary Bogumił ma słusność, i rozumiał zarazem, że, jak to mu powiedział poprzednic, musisz się oduczyć wszystkiego, czego się nauczył; nieznanem, ale nieustannem i wzmagającym się stopniowaniem przechodził od pianissimo do fortissimo, od pieśczo-ty do groźby, od błysku do gromu; gubił się w potoku harmonji, którą podnosił jak mgłę i spuszczał w szeleszczących kaskadach, w perłach skroplonych, w wilgotnym pyłku; był pod wpływem nowego położenia, w stanie zbliżającym się do ekstazy, gdy naraz jego ręka omdlała na strunach, smyczek opadł, skrzypce zsunęły się z ramienia, oczy gorejące stanęły w ślup.

Drzwi się otwarły, a w zwierciadle, naprzeciw którego grał Hoffman, spostrzegł on, niby cień wywołany niebiańską harmonją, ukazującą się piękną Antonję, z ustami półotwartemi, piersią wzdętą, okiem wilgotnem.

Hoffman wydał okrzyk zdziwienia, a mistrz Bogumił zaledwie miał czas powstrzymać czcigodnego Amati, który wysunął się z ręki młodego grajka.



ROZDZIAŁ IV

ANTONJA

Antonja wydała się Hoffmanowi jeszcze tysiącokrotnie piękniejsza w chwili, gdy otwierając drzwi przechodziła przez próg, niż wtedy, gdy schodziła ze stopni ołtarza. A to dlatego, że w zwierciadle obraz jej odbił się zaledwie o dwa kroki przed Horrmannem, który mógł jednym rzutem oka ogarnąć wszystkie wdzięki niewidzialne zdaleka.

Antonja miała lat zaledwie siedemnaście; była średniego wzrostu, raczej wysoka, niż niska, ale tak szczupła, a nie chuda, tak giętka, a nie wątpła, że wszystkie porównania lilji kołyszącej się na łodydze, palmy pochylającej się za wiatrem, nie starczyłyby dla odmalowania tej włoskiej *morbidezza*, jednego wyrazu w języku ludzkim określającego wrażenie budzące się na jej widok. Matka jej, równie jak Szekspirowskiej Juliety, była jednym z najpiękniejszych kwiatów wiosny Werońskiej, a w Antonji widać było, nie stopione, ale kłójące się, co właśnie stanowiło urok tej dziewczycy, wdzięki obu ras walczących o palmę piękności. Owóż przy delikatności skóry kobiet północnych, miała ona matowość skóry kobiet południa; włosy jej płowe, gęste i lekkie zarazem, rozwiewające się za najmniejszym wietrzykiem, niby złocista mgła, ocieniały oczy i brwi z czarnego aksamitu. Przytem, rzecz dziwna, w jej mianowicie głosie znać było harmonijną mieszaninę obu języków. Więc też, kiedy Antonja mówiła po niemiecku, to słodycz pięknego języka południowego, w którym, jak mówi Dante, przebrzmiewa głoska *si* łagodziła ostrość akcentu germańskiego; przeciwnie, kiedy mówiła

po włosku, zbyt miękki język Metastazjusza i Goldoniego nabierał werwy, jaką mu nadawała potężna akcentacja Schillera i Goethego.

Ale nietylko pod względem fizycznym uwydatniało to zmieszanie: Antonja pod względem moralnym stanowiła dziwny i rzadki typ tego, co mogą zjednoczyć przeciwległe: poezja z pod słońca Włoch i z pod mgieł niemieckich. Rzekłbyś, zarazem muza i czarodziejka, Loreley z bałady i Beatryx z Boskiej komendji.

Bo i Antonja, artystka wyśmienita, była córką wielkiej artystki. Matka jej, nawykła do muzyki włoskiej, wzięła się raz zawzięcie do muzyki niemieckiej. Wpadła jej raz do ręki partytura *Alcesty* Glucka; mąż, mistrz Bogumił, na jej prośbę, kazał jej przetłumaczyć tekst na język włoski, i potem zaśpiewała tę operę w Wiedniu. Ale zanadto zaufała siłom, a raczej dzielna śpiewaczka nie znała miary wrażliwości. Przy trzecim przedstawieniu opery, mającej powodzenie znakomite, przy prześlicznem solo *Alcesty*: „Bóstwa Styksowe“... kiedy doszła do *re*, które wyrzuciła pełną piersią, zbladła, zachwiała się, zemdląca; naczynie pękło w tej tak szlachetnej piersi, ofiara bogom podziemnym spełniła się istotnie: matka Antonji umarła.

Biedny mistrz Bogumił dyrygował orkiestrą; z miejsca swego widział on jak się zachwiała, zbladła i upadła ukochana; co większa, usłyszał rwącą się w jej piersi tę tkaninę, od której zależało jej życie, i wydał okrzyk okropny, który zlał się z ostatnim westchnieniem wirtuozki.

Stąd to może pochodziła ta nienawiść mistrza Bogumiła do kompozytorów niemieckich; to kawaler Gluck, wprawdzie zgoła niewinnie, zabił jego Teresę, ale niemniej miał on urazę do Glucka za tę głęboką boleść, jaką uczuł, a która nie uśmierzyła się, aż zwolna przeniósł na Antonję tę miłość, jaką czuł dla matki.

Teraz, w siedemdziesiątym roku życia, dziewica zastępowała ojcu wszystko. Żył on przez Antonję, oddychał przez Antonję. Nigdy śmierć Antonji nie przeszła mu przez głowę; ale gdyby i przeszła, nie zaniepokoiłby się, z uwagi, że nie mógłby przeżyć Antonji.

Nie z mniejszem też zapałem jak Hoffman, lubo uczucie jego czystsze było jeszcze, spostrzegł on ukazującą się Antonję na progu swego gabinetu.

Dziewica zbliżała się wolno, dwie łzy błyszczały u jej

powiek, a podszedłszy trzy kroki do Hoffmana, podała mu rękę.

Potem tonem skromnej poufałości, i jakby znała młodzieńca dziesięć lat:

— Dzień dobry, bracie — rzekła.

Od ukazania się córki mistrz Bogumił pozostał milczący i nieruchomy; dusza jego, jak zwykle, opuściła ciało, oblatując koło Antonji, śpiewała w jej uszy wszystkie melodie miłości i szczęścia, jakie śpiewa dusza ojca na widok osieroconej córki.

Położył na stole swojego *Amati*, i spoglądał na dziecko.

Hoffman nie wiedział, czy czuwa, czy śpi, czy był na ziemi, czy w niebie; czy to kobieta przyszła do niego, czy zjawił mu się anioł.

To też prawie cofnął się krokiem wstecz, gdy spostrzegł, że Antonja zbliża się do niego i podając mu rękę nazywa go bratem.

— Pani moją siostrą? — zapytał głosem stłumionym.

— Tak — odrzekła Antonja — nie krew ustanawia rodzinę, ale dusza. Wszystkie kwiaty braćmi są po zapachu, wszyscy artyści braćmi są po sztuce. Nie widziałam pana nigdy, to prawda, ale czasem i smyczek opowiedział mi twe życie. Jesteś poetą trochę zagorzałym, biedny przyjacielu! Niestety! to ta iskra gorejąca, jaką Bóg rzuca w naszą głowę, lub piersi, pali nasz mózg, lub trawi serce.

Potem, zwracając się do mistrza Bogumiła:

— Dzień dobry, ojcze — rzekła — czemuż to jeszcze nie ucałowałeś swej Antonji? A! rozumiem, *Il matrimonio segreto*, *Stabat mater*, *Cimaroza*, *Pergolese*, *Porpora*! Co tam Antonja znaczy przy tych genjuszach? Biedne, kochające cię dziecko, o którym ty zapominasz dla nich!

— Jabym o tobie zapomniał? — zawołał Bogumił — stary Murr zapomniałby o Antonji! Ojciec zapomniałby o córce? Dlaczego? Dla kilku nut, dla krzyżyków i bemolić Oto mi się podobasz. Zobaczysz zaraz!

I okręciwszy się na kulawej nodze ze zwinnością zadziwiającą, drugą nogą i obu rękami starzec rozrzucił głosy orkiestrowe z *Matrimonio segreto*, gotowe już zupełnie do rozdania między członków orkiestry.

— Ojcze mój! ojcze! — wołała Antonja.

— Ognia! ognia! — wołał mistrz Bogumił — ognia.

spalić to wszystko! spalić Pergolesa! spalić Cimarozę! spalić Paesiella! spalić Stradivariusa i Gramula i Amatiego! Czyż Antonja, moja córka, nie powiedziała, że ja wolę moje struny, drzewo i papier, niż moje ciało i krew? Ognia! ognia! ognia!

I starzec rzucał się jak opętany, skakał na nodze jak djabeł kulawy, rękami machał jak skrzydłami wiatraka.

Antonja patrzyła na ten szal starca ze słodkim uśmiechem zadowolonej dumy dziecięcej. Ona z ojcem tylko pozwalająca sobie zalotności, wiedziała dobrze, iż jest nad ojcem wszechwładna, że serce jego było królestwem, w którym panowała nieograniczenie. Zatrzymała też starca pośród tych ewolucji, i przyciągając go ku sobie, złożyła na jego czole pocałunek.

Starzec wykrzyknął radośnie, wziął córkę w objęcia, podniósł jak ptaszę, i okręciwszy się kilka razy, padł na kanapę, gdzie jął ją huścić, jak matka niemowlę.

Zrazu Hoffman patrzył na mistrza Bogumiła z przestraszeniem. Widząc, jak rozrzuca partycje po powietrzu, porywa córkę w objęcia, wziął go za furjata. Ale uspokoił go niebawem uśmiech Antonji; zbierając więc z szacunkiem rozrzucone głosy, kładł je napowrót na stołach i pulpitach, końcem oka spoglądając na tę dziwną grupę, w której sam nawet starzec wyglądał dość poetycznie.

Naraz coś pieściwego, niby nuta eteryczna, powiało w powietrzu; była to mgła, melodia, coś bardziej jeszcze boskiego. Był to głos Antonji. Ze swą artystyczną fantazją, poczęła ona tę cudowną kompozycję Stradelli, która ocaliła życie jej twórcy, ową *Pieta Signora*.

Przy pierwszych drganiach tego anielskiego głosu, Hoffman stał nieporuszony, podczas gdy stary Bogumił lekko córkę z kolan podnosząc, ułożył ją wzdłuż na kanapie; potem, pobiegłszy po Amati i dostrajając akompanjament do słów, zaczął przelewać harmonję swego smyczka pod głos Antonji, i podtrzymywać go jak anioł podtrzymuje duszę unoszącą się do nieba.

Głos Antonji był sopranowy, posiadający całą obszerność, jaką dać może szczodroblivość boża, nie już kobiecemu, lecz anielskiemu głosowi; Antonja przebiegła półszóstej oktawy, od wysokiego *ut* do głębokich nut basowych. Nigdy Hoffman nie słyszał nic tak aksamitnego

jak cztery pierwsze takty śpiewane bez akompanjamentu „*Pieta, Signora, di me dolente*“. To westchnienie duszy cierpiącej do Boga, ta gorąca modlitwa do Pana o litość nad żalącym się cierpieniem, nabierały w ustach Antonji przeczucia czci Bożej podobnej do przestrachu. Ze swej strony, akompanjament, powtarzający echo skargi, schwytane między ziemią i niebem godnym był ze wszechmiat tego żalosego głosu i bolesnym jak on. Mówił on nie po włosku, nie po niemiecku, ani po francusku, ale tym językiem powszechnym, który zwie się muzyką.

— „Litości, Panie, litości nade mną, nieszczęśliwą! Litości, Panie, a jeśli ma prośba dojdzie do Ciebie, niech ustąpi twój gniew, a oczy twe zwrócą się ku mnie łaskawie!“

Potem, gdy głosem drżącym poczęła: — „Niechaj to nigdy nie nastąpi, abym została potępiona i rzucona w wiekuisty twego gniewu ogień, o! wielki Boże“ — wtedy akompanjament, jakby przerażony widokiem płomieni wiecznych, błagał ze swej strony, jęczał, podtrzymywał w tonach grozy i bóleści. Aż kiedy wyczerpany i bezsilny głos zamierał w piersi Antonji, akompanjament szedł dalej sam po zagasłym głosie, jak po duszy uleciałej ku niebu, ciągną się szemrzące i żalose modły pozostałych.

Wtem do suplikacji skrzypcowych mistrza Bogumiła, zaczęła przybywać harmonja niespodziewana, cicha a zarazem potężna, prawie niebiańska. Antonja wsparła się na łokciu, mistrz Bogumił odwrócił się w połowie i stanął ze smyczkiem zwieszonym nad strunami skrzypiec. Hoffman, zrazu ogłuszony, upojony, w szale, zrozumiał, że dla uniesień tej duszy potrzeba nieco nadziei, że złamałby się, gdyby jej jaki promień boski nie ukazał nieba; rzucił się więc ku organom i położył ręce na drżących klawiszach, a organy wydając długie westchnienie połączyły się ze skrzypcami Bogumiła i głosem Antonji.

Cudowny też był ów zwrot motywu *Pieta Signora*, w towarzystwie tego zwrotu nadziei: dreszcz przeszedł po żyłach starego Bogumiła, okrzyk wybuchnął z ust Hoffmana, który, tłumiąc skrzypce pod potokami harmonji płynącej z jego organu, przedłużał głos Antonji po jego uciszeniu się, i na skrzydłach już nie anioła, lecz huraganu, zdawał się nieść ostatnie westchnienie tej duszy, pod stopy Pana wszechmocnego i wszechmiłosiernego.

Potem nastąpiła cisza; wszystko troje spojrzeli po sobie. ręce ich połączyły się w uścisku bratnim, tak jak dusze zjednywały się w harmonji wspólnej.

Od tej chwili, nietylko Antonja nazywała Hoffmana bratem, ale i stary Bogumił Murr nazwał Hoffmana synem.

ROZDZIAŁ V

PRZYSIĘGA

Może czytelnik zapyta jak to się stało, że, lubo matka Antonji umarła śpiewając, mistrz Bogumił pozwolił, aby córka jego narażała się na podobny wypadek.

Najprzód, usłyszawszy pierwszy raz probującą głosu swego Antonję, biedny ojciec drżał jak listek, przy którym śpiewa ptak. Lecz Antonja była prawdziwym ptakiem, i stary muzyk niebawem spostrzegł, iż śpiew stanowił jej język przyrodzony. Bóg też dając jej głos tak rozległy, że prawie nie miała równej sobie na świecie, wskazał zarazem, iż pod tym względem mistrz Bogumił nie ma się czego obawiać. Jakoż, kiedy do tego daru przyrodzonego przystąpiło ćwiczenie muzyczne, a wszelkie trudności przechodziły bez żadnego wysiłku i niby prosta zabawka, zrozumiał on doskonałość narzędzi i przekonał się, że nie było żadnego niebezpieczeństwa w tem, iżby pozostawić słowika skłonnościom jego melodyjnego powołania.

Tylko mistrz Bogumił zapomniał, że struna muzyki nie jest jedną, jaka dźwięczy w sercu młodych dziewcząt, i że jest inna struna, nierównie czulsza, wrażliwsza, świetniejsza, — struna miłości!

Ta zbudziła się w dziewczęciu przy brzmieniu smyczka Hoffmana. Pochylona nad krosienkami w sąsiednim pokoju, podniosła głowę przy pierwszym dźwięku jaki się rozległ w powietrzu. Słuchała, potem dziwne wzruszenie przeniknęło jej duszę i dostało się do żył.

Podniosła się wtedy, zwolna, jedna ręka jej wsparła się na krześle, z drugiej haft wypadł na ziemię. Chwilę stała nieruchoma; następnie, wolno podeszła ku drzwiom.

i jak widmo urocza, stanęła we drzwiach gabinetu mistrza Bogumiła Murra.

Widzieliśmy, jak muzyka stopiła te trzy dusze w jedną i jak pod koniec koncertu Hoffmana stał on się współbiesiadnikiem domu.

Była to godzina, w której stary Bogumił zwykle siadał do stołu. Zaprosił Hoffmana na obiad, co młodzieniec przyjął z równą serdecznością, z jaką go zapraszano.

Wtedy, kilka chwil, piękna i poetyczna dziewczica psalmów niebiańskich, zamieniła się na dobrą gospodynię. Antonja nalewała herbatę, jak Klaryssa Harlowe, kładła bułeczki z masłem, jak Szarlotta, i sama nareszcie usiadła do stołu i jadła jak prosta śmiertelniczka.

Niemcy nie tak rozumieją poezję, jak my, francuzi. W naszych obyczajach świata manierowanego, kobieta jedząca i pijąca, depoetyzuje się. Kiedy kobieta młoda i ładna, siada do stołu, to dlatego, ażeby przy nim prezydować; jeżeli ma przed sobą szklankę, to dlatego, ażeby w nią wpakować rękawiczki, i to, jeśli je zdejmie przy obiedzie; jeżeli ma przed sobą talerz, to dlatego, ażeby na nim położyć pod koniec obiadu gronko wina, które ta istota niematerjalna raczy wyskubywać niedbale, wybierając ziarenka najbardziej złociste.

Według przyjęcia, jakiego doznał Hoffman u mistrza Bogumiła, łatwo się domysleć, że przybył tam nazajutrz i dni następnych. Mistrza Bogumiła zgoła nie niepokoiły te częste odwiedziny; Antonja była zbyt czysta, iżby starzec mógł przypuścić jaki z jej strony błąd.

Hoffman był więc szczęśliwy, to jest, tyle szczęśliwy, ile może być śmiertelny człowiek. Słońce radości nigdy całkowicie nie oświeciła serca człowieka; zawsze tam na niektórych punktach tego serca znajduje się plama, przypominająca człowiekowi, że szczęście zupełne nie istnieje na tym świecie, ale tylko w niebie.

Lecz Hoffman miał pewną wyższość nad przeciętnym człowiekiem. Często człowiek sam nie może sobie wytlumaczyć tego niepokoju, jaki go dręczy przy stanie skądinąd najpomyślniejszym, tego cienia, który ciemnym, szarym widmem rzuca się na jego promienną szczęśliwość.

Hoffman wiedział czego mu brak do szczęścia, i co mu je zatruwało.

Oto przyrzeczenie uczynione Zacharjuszowi Wernero-

wi, że połączy się z nim w Paryżu, oto dziwna ta chęć zwiedzenia Francji, która tajała w obecności Antonji, ale brała górę natychmiast, gdy się Hoffman od niej oddalił. Było nawet coś więcej. W miarę jak czas upływał, a listy Zacharjasza, domagające się od przyjaciela dotrzymania słowa, przychodziły coraz częściej, Hoffman smutniał coraz bardziej.

Jakoż, obecność dziewczycy już nie była zdolna odpędzić widma ścigającego teraz Hoffmana, nawet przy boku Antonji. Często przy niej zapadał w głębokie zamyślenie. O czem myślał? O Zacharjaszu Wernerze, którego głos zdawało mu się słyszeć. Często oko jego, zrazu roztagonione, wkońcu utkwilo w jeden punkt mieszkania. Co widziało to oko, a raczej co rzekomo widziało ono? Drogę do Paryża, potem, na jednym z zakrętów tej drogi, Zacharjasza, który szedł przed nim i dawał mu znak przybycia. Powoli, widmo zjawiające się przed Hoffmanem, wracało z większą regularnością, w końcu obiegło go zupełnie.

Hoffman kochał Antonję coraz więcej. Czuł, że Antonja potrzebna jest dla jego życia, że ona stanowi szczęście jego przyszłości; ale czuł także, iż nim się rzuci w to szczęście, i ażeby ono było trwałe, musi dopełnić zamierzonej pielgrzymki, w przeciwnym razie, pragnienie zamknięte w jego sercu, jakkolwiek dziwne, zagryzie go.

Raz, gdy siedząc obok Antonji, podczas gdy mistrz Bugumił rozpisывał *Stabat Mater* Pergolesa do wykonania w towarzystwie filharmonicznym frankfurckiem, Hoffman wpadł w zwykłe zamyślenie — Antonja długo weń się wpatrzywszy, wzięła go za obie ręce.

— Trzeba tam jechać, mój drogi — rzekła.

Hoffman spojrział na nią zdziwiony.

— Jechać tam? — powtórzył — a dokąd?

— Do Francji, do Paryża.

— A któż ci, Antonjo, wypowiedział tę tajemną myśl mego serca, której ja sam przed sobą wyjawić nie śmiem?

— Mogłabym przypisać sobie względem ciebie, Teodorze, władzę czarodziejki, i powiedzieć ci: Czytałam w twej myśli, czytałam w twych oczach, czytałam w twem sercu; alebym skłamała. Nie, jam sobie tylko przypomniała.

— A cóżes ty sobie przypomniała, Antonjo?

— Że w przeddzień przybycia twego do nas, był u nas Zacharjasz Werner, i opowiadał nam o waszym zamiarze podróży, o chęci gorącej zwiedzenia Paryża; chęci żywej prawie od roku i gotowej się urzeczywistnić. — Mówiłeś mi potem, co ci przeszkodziło do wyjazdu. Mówiłeś, jako widząc mnie po raz pierwszy, doznałeś tego nieprzewyjęzonego uczucia, jakiego doznałam i ja sama usłyszawszy ciebie, a teraz pozostaje ci tylko powiedzieć mi — że tyleż kochasz mnie zawsze.

Hoffman uczynił ruch.

— Nie trudź się powiedzeniem mi tego, bo ja o te u wiem sama — mówiła dalej Antonja, ale jest coś potężniejszego od miłości, to chęć zwiedzenia Francji, połączenia się z Zacharjaszem, zobaczenia Paryża, słowem

— Antonjo! — zawołał — wszystko prawdą jest co mówiłaś, prócz jednego punktu, że jest coś na świecie silniejszego od mojej miłości! Nie, przysięgam ci, Antonjo, szczególną tę chęć, której sam zgoła nie rozumiem, pogrzebałbym w mem sercu oddawna, gdybyś ty nie była jej stamtąd wydobyła. Nie mylisz się więc, Antonjo! Tak jest, jakiś głos wzywający mnie do Paryża, głos silniejszy od mojej woli, a jednak, powtarzam ci, któregożbym nie posłuchał; ten głos jest głosem przeznaczenia!

— Zgoda, spełnijmy nasze przeznaczenie, mój drogi! Pojedziesz jutro. Ile potrzebujesz czasu?

— Miesiąc, Antonjo! za miesiąc powrócę.

— Miesiąc nie wystarczy, Teodorze; przez miesiąc nie zobaczysz nic, daję ci dwa miesiące, trzy, wiele chcesz wreszcie. Żądam tylko jednej rzeczy, a raczej dwóch.

— Jakich, droga Antonjo, jakich? Powiedz.

— Jutro jest niedziela, dzień wielkiego nabożeństwa. Patrzej przez okno, tak jak patrzałeś w dniu wyjazdu Zacharjasza Wenera, a w tym dniu, tylko nieco smutniejszy, niż wówczas, zobaczysz mnie wstępującą po schodach kościoła. Przyjdź do mnie na moje zwykłe miejsce, usiądź przy mnie, a podczas konsekracji wykonasz mi dwie przysięgi: jedną, że mi dochowasz wierności, drugą, że nie będziesz grał w karty.

— O! wszystko co zechcesz, w tej chwili, droga Antonjo! przysięgam ci...

— Cicho, Teodorze, przysięgniesz jutro.

— Antonjo! Antonjo! ty jesteś aniołem.

— W chwili rozstania się, Teodorze, czy nie masz cu do powiedzenia mojemu ojcu?

— Masz słuszność. Ależ istotnie, wyznaję ci, Antonjo, iż drzę, waham się. Boże mój! czemu ja jestem, ażeby spodziewać się?...

— Jesteś człowiekiem, którego ja kocham. Idź do ojca swojego, idź.

I dając mu znak ręką, otworzyła drzwi stancyjki przekształconej przez nią na modlitewnię.

Hoffman powiódł za nią oczyma i stał, aż znikła za drzwiami. Przez drzwi posłał jej od ust wszystkie pocałunki, od serca wszystkie wybuchy miłości.

Potem wszedł do gabinetu ojca.

Mistrz Bogumił tak był oswojony z krokami Hoffmana, że nawet nie podniósł oczu od biurka, na którym przepisywał *Stabat Mater*; młodzieniec wszedł i stanął za nim.

Po chwili, mistrz Bogumił nie słysząc już nic, nawet oddechu Hoffmana, obejrzał się.

— Aha! to ty chłopcze — rzekł zarzucając głowę w tył, by przez okulary spojrzeć mu w oczy. — Cóż mi masz powiedzieć?

Hoffman otworzył usta, ale zamknął je nie wyksztusiwszy żadnego dźwięku.

— Cóżes to oniemiał? — zapytał starzec — hm! to byłaby bieda. Taki gaduła jak ty, co gdy język rozpuścisz, to nie ma końca i miary, byłby bardzo nieszczęśliwy — i nie może utracić mowy, chyba za karę, że jej nadużywał.

— Nie, mistrzu Bogumile, nie straciłem mowy, dzięki Bogu! Tylko to co mam powiedzieć...

— No co?

— Wydaje mi się trudne.

— Ej! czyż to znowu tak trudno powiedzieć: mistrzu Bogumile, kocham twoją córkę?

— Wiecie o tem, mistrzu?

— Byłbym warjatem, a raczej głupcem, gdybym się na tem był nie poznał.

— Jednak pozwoliliście mi ją w dalszym ciągu kochać.

— A czemuż nie? skoro i ona ciebie kocha.

— Ależ mistrzu Bogumile ja nie mam żadnego majątku.

— Ba! a ptaki niebieskie, czy mają majątek? Śpiewają, żyją, ścielą gniazda, a Pan Bóg je żywi. My, artyści, bar-

dzośmy podobni do ptaków; śpiewamy, a Bóg przychodzi nam z pomocą. Jak śpiew nie starczy, zrobisz się malarzem; jak malarstwo nie starczy, zostaniesz znowu muzykiem. Nie byłem ja bogatszy od ciebie, gdym się ożenił z mą biedną Teresą; a przecież ani wikt, ani kąta, nigdy nam nie zbrakło. Tylko czyś bogaty w miłość? O to ja ciebie pytam. Czy kochasz moją Antosię nad życie, nad duszę własną? Jeżeli tak, to jestem spokojny, niczego jej nigdy brakować nie będzie. Nie kochasz jej? To inna rzecz, choćbyś miał sto tysięcy rocznego dochodu, jej zawsze będzie brakować wszystkiego.

Hoffman bliski był rzucenia się na kolana przed tą filozofją artysty. Pochylił się nad ręką starca, który przyciągnął go do siebie i przycisnął do serca.

— No! no! — rzekł — rzecz skończona. Odbądź podróż, skoro porywa cię wściekłość usłyszenia tej straszliwej muzyki pana Méchula i pana Daleyraca, to choroba młodości, która uleczy się prędko. Jestem spokojny, odbądź tę podróż, mój przyjacielu, i wracaj tu, gdzie zastaniesz Mozarta, Beethovena, Cimarozę, Pergolesa, Paesella, Porporę, a nadto mistrza Bogumiła i jego córkę, to jest ojca i małżonkę. Jedź, moje dziecko, jedź.

I mistrz Bogumił znowu ucałował Hoffmana, który widząc zbliżającą się noc, uważał, że nie ma czasu do stracenia, i udał się do domu, aby zrobić przygotowania do drogi.

Nazajutrz od samego rana Hoffman był przy oknie. W miarę jak nadchodziła chwila rozstania się z Antonją. rozłączenie zdawało mu się coraz bardziej niepodobne. Cały ten zachwycający okres jego życia, który upłynął te siedem miesięcy, które przeszły jak jeden dzień, żywo stały mu w pamięci, raz jako obszerny widnokrąg obejmowany jednym rzutem oka, to znowu jako szereg dni radosnych — wspomnienia te przeciągały jedne za drugimi uśmiechając się, strojne kwiatami: te rozkoszne śpiewy Antonji, ta droga życia usypana słodkimi melodjami — wszystko to było ponętą tak silną, że walczył prawie z czemś nieznanem, ażeby się jej oprzeć.

O dziesiątej Antonja ukazała się na rogu ulicy, na której przed siedmioma miesiącami Hoffman widział ją po raz pierwszy. Poczciwa Lisbetha szła za nią jak zwykle i obie wstąpiły na schody kościoła. Na ostatnim stopniu

Antonja się obejrzała, spostrzegła Hoffmana, skinęła na ręką i weszła.

Hoffman wybiegł z domu, i popędził do kościoła, gdzie zastał Antonję klęczącą i zatopioną w modlitwie.

Hoffman był protestantem, i te śpiewy w języku obcym zawsze wydawały mu się śmieszne; ale usłyszawszy Antonję nucącą ten śpiew kościelny tak miły i szeroki zarazem, żałował, iż nie umie słów, by połączyć swój głos z głosem Antonji, jeszcze słodszy niż zwykle, dzięki głębokiej melancholji jakiej doznawała dziewica.

Podczas całego świętego obrzędu śpiewała takim głosem, jakim tam, wysoko, śpiewać muszą anieli; potem, kiedy dzwonek służącego do mszy św. oznajmił poświęcenie hostji, w chwili, gdy wierni schylali głowy przed Ciałem i Krwią Przenajświętszą Zbawiciela, jedna Antonja podniosła głowę.

— Przysięgaj — rzekła do Hoffmana.

— Przysięgam — mówił tenże głosem drżącym — przysięgam zaniechać gry w karty.

— Czyz to jedyna przysięga, jaką masz mi uczynić Teodorze?

— O! nie. Przysięgam pozostać ci wiernym sercem i umysłem, ciałem i duszą.

— A na co zaprzysięgasz?

— Oh! — zawołał Hoffman w uniesieniu — na to, co mi jest najdroższe, najświętsze, na życie twoje.

— Dziękuję! — zawołała z kolei Antonja — bo jak nie dotrzymasz przysięgi, ja umrę.

Hoffman zadrzał, dreszcz przeszedł go po całym ciele, nie pożałował, ale się przestraszył.

Kapłan zstępował ze stopni ołtarza, odnosząc procesjonalnie Najświętszy Sakrament.

W chwili, gdy przechodził obok nich, Antonja schwyła za rękę Hoffmana.

— Zbawicielu świata! — zawołała — słyszałeś jego przysięgę.

Hoffman chciał coś powiedzieć.

— Ani słowa więcej, ani słowa! — dodała. — Chcę, ażby te słowa, z jakich składała się twoja przysięga, jako ostatnie, które usłyszałam od ciebie, brzmiały wiecznie w moim uchu. Do widzenia mój drogi, do widzenia.

I uchodząc, lekka jak cień, dziewczica zostawiła medaljon w ręku narzeczonego.

Hoffman patrzył na oddalającą się, a gdy znikła, otworzył medaljon. Zawierał on portret Antonji świetniejący młodością i wdziękiem.

We dwie godziny potem, Hoffman zasiadał w tym samym dylizansie, co Zacharjusz Werner, powtarzając:

— Bądź spokojną, Antonjo, oh! ja grać nie będę i wierzyć ci pozostanę.

ROZDZIAŁ VI

ROGATKA PARYSKA W 1793 ROKU

Podróż młodzieńca było dość smutna w tej Francji tak upragnionej. Nie żeby zbliżając się do ogniska głównego, doświadczał tylu trudności, ile ich spotkał na granicy, nie. Rzeczpospolita francuska względniejsza była dla przybywających, niż dla odjeżdżających.

Wszelako do kosztowania szczęścia tej szacownej formy rządu nie można było być przypuszczonym inaczej, jak tylko po dopełnieniu pewnych formalności średnio zajmujących.

Był to czas, w którym francuzi umieli najmniej pisać ale w którym pisali najwięcej. Zdawało się więc wszystkim urzędnikom świeżej daty właściwem porzucić zajęcie domowe, lub plastyczne, by podpisywać paszporty, układać rysopisy, przykładać wizy, udzielać polecenia, robić słowem wszystko co dotyczyło rzemiosła patryjoty.

Nigdy papierowanie takiego nie doznawało powodzenia jak wówczas. Ta endemiczna choroba administracji francuskiej, zaszczepiając się na teroryzmie, wydała najpiękniejsze okazy kaligrafji o jakich słyszano do dziś dnia.

Hoffman otrzymał swą kartę podróżną nadzwyczaj szczupłą. Była to epoka szczupłości: dzienniki, książki, publikacje wszelkie, sprowadzały się do prostego *in octavo* dla wielkich rozmiarów. Karta podróżna, powiadamy, do samej Alzacji zwykle założona została podpisami urzędników iście podobnemi do tych sygnałów. jakie tworzy pijak zataczający się z jednej strony ulicy na drugą, od muru do muru.

Musiał więc Hoffman w Alzacji dołączyć jedną kartę do swego paszportu, drugą w Lotaryngji, gdzie zwłaszcza

pisma przybrały rozmiary kolosalne. Tam gdzie patryjotyzm był najgorętszy, pisarze byli najnaiwniejsi. Zdarzył się burmistrz, który użył dwóch stron *rekto* i *verso*, by udzielić Hoffmanowi autograf tej treści:

„Aupheman, chune Allemans, ami de la libreté, se rendan á Pari ha pié.

Podpisano, Golier“.

Oдноśnie do ortografji polskiej wypadłoby to mniej więcej, tak:

(Aufman, miemiec, przyjaczel wolnoszczy, udajonczy sze do Paryża piechty).

Opatrzony w ten prawidłowy dokument, dotyczący jego pochodzenia, wieku, zasad, powołania i sposobów lokomocji, Hoffman zajął się już jedynie zszyciem razem tych świstków obywatelskich, a musimy dodać, że za przybyciem do Paryża posiadał już piękny tom, który, jak mówił, każe oprawić w blachę, gdyby próbował nowej podróży, gdyż zmuszony zawsze te karty trzymać w ręku, mogłyby je uszkodzić pod prostą tekturą.

Wszędzie mu powtarzano:

— Kochany panie cudzoziemcze, na prowincji mieszkać jeszcze jako tako można, ale Paryż jest w wielkiem poruszeniu. Bądź ostrożny, obywatelu, w Paryżu policja bardzo dokuczliwa, a jako Niemiec, mógłbyś niekoniecznie uchodzić za dobrego francuza.

Na co Hoffman odpowiadał uśmiechem dumnym, przypominającym dumę spartańską, kiedy szpiegowie Tessaifj, usiłowali powiększyć siły króla perskiego, Xerxesa.

Stanął przed Paryżem wieczorem, rogatki były zamknięte.

Hoffman mówił niezłe po francusku, ale jest ktoś Niemcem, albo nie jest. Jeżeli nie jest, po latach nabywa akcentu, który ostatecznie może ująć za jeden z naszych prowincjonalnych; jeżeli jest, to zawsze uchodzi za Niemca.

Trzeba wytłumaczyć, jak się wykonywała służba policyjna na rogatkach.

Po pierwsze, rogatki były zamknięte; następnie, ze stemiu lub ośmiu oddziałowych, a byli to ludzie bez zajęcia i pełni inteligencji, Lawatorowie z zamilowania, obchodzili kupkami, paląc fajki, około dwóch lub trzech agentów policji miejskiej.

Pocziwi ci ludzie, którzy od deputacji do deputacji

obeszli wszystkie sale klubowe, wszystkie biura okręgowe, wszystkie miejsca, dokąd polityka wcisnęła się stroną czynną lub bierną; ludzie ci, którzy w zgromadzeniu narodowym, lub w konwencie, widzieli każdego deputowanego, w trybunach wszystkich arystokratów płci męskiej i żeńskiej, na spacerach wszystkich odznaczających się elegantów, w teatrach wszystkie znakomitości podejrzane, na przeglądach wszystkich oficerów, na sądach wszystkich oskarżonych mniej więcej z pod oskarżenia wyjętych, w więzieniach wszystkich księży oszczędzonych — ci zacni patryjoci tak dobrze znali Paryż, że każda twarz nieznamoła musiała ich uwagę zwrócić, i, powiedziawszy prawdę, zwracała prawie zawsze.

Nie łatwo to było wówczas się przebrać, zbytek bogactwa w ubraniu wyzywał oko, zbytek prostoty wyzywał podejrzenie. Ponieważ niechlujstwo było jedną z najbardziej rozpowszechnionych oznak obywatelstwa, przeto każdy nosiwoda, każdy kuchta, mógł ukrywać w sobie arystokratę; a przytem ręka biała z pięknymi paznociami, jak ją zupełnie ukryć? Ten ruch arystokratyczny, za naszych czasów niewidziany, gdzie najniżsi noszą obcasy najwyższe, jak go ukryć przed dwudziestu parami oczu bystrzejszych, niż oczy wietrzącego wyżła?

Podróżny przeto od samego przybycia był przetrząsany, wypytywany, ogłuszany w sensie moralnym, z łatwością nabytą przez wprawę, ze swobodą, jaką nadawała swoboda.

Hoffman stanął przed tym trybunałem około szóstej wieczorem, dnia 7 grudnia. Pogoda była szara, ostra, połączona z mgłą; ale niedźwiedzie czapki okrywające głowy patryjotyczne, tyle patryjotom zostawiały gorącej krwi w mózgach i uszach, że zachowywali całą przytomność umysłu, i szacowne przymioty śledcze.

Hoffmana zatrzymała ręka lekko położona na jego piensiu.

Młody podróżny ubrany był we frak barwy szaro-zielonej, w gruby surdut, a buty niemieckie zarysowywały dość zalotną nogę, ponieważ nie trafił na błoto do ostatniego etapu. Że zaś kareta nie mogła iść z powodu świeżego nasypu grubym żwirem, Hoffman musiał zejść pałę pieszo po drodze lekko przysypanej stwardniałym śniegiem.

— A dokąd to idziemy, obywatelu, w tych pięknych butach? — zawołał agent do młodzieńca.

— Idę do Paryża, obywatelu.

— I nie boisz się, młody Prusssaku — odrzekł oddziałowy, wymawiając ten epitet prusaka z taką obfitością zgłoski *s*, że nadbiegło z dziesięciu ciekawych.

Prusacy niemniejszymi wówczas byli wrogami dla Francji jak Filistyni dla współziomków Samsona Izraelity.

— Ano tak, jestem pruzak — odpowiedział Hoffman, pięć *s* oddziałowego zamieniając na jedno *z* — i cóż z tego?

— Jeżeli jesteś Prusakiem, to możesz być zarazem małym szpiegiem Pitta i Koburga, he?

— Proszę przeczytać moje paszporty — odparł Hoffman, podtykając swój tom jednemu z piśmiennych rogatkowych.

— Chodź — odrzekł tenże, odwracając się dla odprowadzenia cudzoziemca do kordegardy.

Hoffman udał się za tym przewodnikiem z zupełnym spokojem.

Kiedy przy świetle kopających świec patrjoci ujrzeli tego nerwowego młodzieńca z okiem śmiałym, włosami nie dbale rozrzuconemi, który jak mógł najsumienniej ciskał swą francuszczyzną, jeden z nich zawołał:

— Ten się chyba nie wyprze, że jest arystokratą; cóż to za ręce i nogi!

— Jesteś głupi, obywatelu — odparł Hoffman — jam taki sam patrjota jak ty, a do tego jestem artystą.

Mówiąc te słowa wy dobył z kieszeni jedną z tych przerażających fajek, których dno znaleźć może tylko nurek niemiecki.

Fajka ta sprawiła cudowne wrażenie pomiędzy oddziałowymi, którzy ciągnęli rozkosze tytuniowe z małych fajeczek.

Wszyscy zaczęli się wpatrywać w niemieckiego młodzieńca, który ze zręcznością, dowodzącą niepospolitej wprawy, pakował w tę fajkę zapas całotygodniowy.

Usiadł potem, rozpalil fajkę tak, że wierzch przedstawiał szeroką powłokę ognia i wypuszczał w równych odstępach kłęby dymu, które wdzięcznie, w niebieskawych kolumnach wychodziły mu z nosa i ust.

— Dobrze pali — mówił jeden z oddziałowych.

— I musi to być łebski chłopak — rzekł drugi — patrzajno na te jego świadectwa.

— Poco ty idziesz do Paryża? — zapytał tenże.

— Uczyć się sztuki wolności — odpowiedział Hoffman.

— I czego jeszcze? — dodał francuz, mało wzruszony heroizmem tego frazesu, zapewne z powodu, że już spowszedniał.

— I malarstwa — dodał Hoffman.

— A! to ty malarzem jesteś, jak obywatel Dawid?

— Zupełnie tak samo.

— Umiesz robić patryjotów rzymskich tak całkiem nagicz, jak on?

— Ja robię ich w ubraniu — rzekł Hoffman.

— To nie tak ładnie.

— Zależy od gustu — odparł Hoffman z najzimniejszą krwią.

— Zrób też mój portret — rzekł podziałowy z podziwem.

— I owszem.

Hoffman wyjął głównię z pieca, przytłumił żarzącą się kończynę, i na ścianie pobielanej wapnem, narysował jedną z najbrzydszych twarzy, jakie kiedykolwiek zniesławiały stolicę świata cywilizowanego.

Czapka futrzana z lisim ogonem, gęba rozdarta, gęste faworyty, krótka fajka, podbródek zadarty, wyszły w swej szarzy z taką prawdą, że każdy z obecnych w kordegardzie, żądał od młodzieńca ażeby go raczył portretować.

Hoffman przystał chętnie i naszkicował na ścianie szereg patryjotów tak wybornych, choć zapewne mniej szlachetnych, niż ci z *Nowego obchodu* Rembrandta.

Wprowadzeni w dobry humor patryjoci, zaniechali wszelkich podejrzeń, Niemiec został naturalizowany jako paryżanin; poczęstowano go piwem honorowem, a on jako człowiek dobrze myślący, odwzajemnił się im winem burgudzkiem, które obywatele przyjęli całym sercem.

Wtedy to jeden z nich, położył drugi palec od genialnego nosa, i rzekł do Hoffmana, mrugając lewym okiem:

— Wyznaj jedną rzecz, obywatelu Niemcze.

— Jaką, mój drogi?

— Wyznaj cel swego przybycia

— Powiedziałem: polityka i malarstwo.

— Nie, nie, coś innego....

— Zapewniam cię, obywatelu.

— Rozumiesz przecież, że cię nie oskarżamy: ale oto są delegaci z klubu Kordeljerów, dwaj z Jakobinów; ja z Braci Przyjaciół; wybieraj z pomiędzy nas ten klub, któremu złożysz hołd.

— Jaki hołd? — zapytał Hoffman zdziwiony.

— O! nie ukrywaj się; to tak piękne, że powinienes się tem wszędzie pysznić.

— Doprawdy, obywatelu, zawstydzasz mnie; wytłumacz się.

— Patrz i sądz, czy umiesz odgadywać? — rzekł patryjota.

I otwierając księgę paszportową, tłustym palcem ukazał na stronie pod rubryką Strasburg, wiersze następujące:

— „Hoffman, podróżny przybywający z Manhejmu, wziął ze Strasburga skrzynię zacyfrowaną tak: O. B.”

— To prawda — rzekł Hoffman.

— A cóż to zawiera ta skrzynia?

— Złożyłem deklaracje w Strasburgu.

— Patrzajcie obywatele, co ten mały figlarz przywozi tu... Czy pamiętacie o przesyłce naszych patryjotów z Auxerre?

— Pamiętam — rzekł jeden z nich — skrzynia sadła

— A do czego?

— Do smarowania gilotyny — zawołał chór głosów zadowolonych.

— A cóż — rzekł Hoffman z miną bladą — jakież to związek skrzynia, która wiozę, może mieć z przesyłką patryjotów z Auxerre?

— Czytaj — oświadczył paryżanin pokazując mu jego paszport — czytaj młodzieńcze: „Podróżujący w celach polityki i sztuki“. Tak napisano.

— O, Republiko! — westchnął Hoffman.

— Przyznaj się więc, młody przyjacielu wolności — rzekł doń młody protektor.

— Byłoby to chępieniem się z myśli, której nie miałem — odparł Hoffman. — Nie lubię fałszywej chwały; nie, skrzynka, którą zabrałem w Strasburgu, a która idzie pocztą wozową, zawiera tylko skrzypce, pudełko z farbami i kilka zwiniętych płócien.

Słowa te o wiele zmniejszyły szacunek, jaki niektórzy powzięli dla Hoffmana. Oddano mu papiery, wypróżniono zafundowane przez niego kieliszki, ale przestano go uważać za zbawcę ludów uciśnionych.

Jeden nawet z patriotów dodał:

— On podobny jest do Saint Justa, ale ja wolę Saint Justa.

Hoffman, zapadłszy znowu w zadumę, którą podniecał piec, tytuń i wino burgundzkie, siedział czas jakiś zamysłony. Ale naraz podnosząc głowę:

— Więc tu dużo gilotynujecie? — zapytał.

— Niezgorzej, niezgorzej; podupadło to trochę od czasu Brissotinów, ale jeszcze się nieźle trzyma.

— Gdziebym mógł się dogodnie umieścić, czy wiecie, szanowni obywatele?

— Wszędzie.

— Ale tak, ażeby wszystko widzieć?

— To stań przy placu Kwiatowym.

— Dobrze.

— A czy wiesz, gdzie się znajduje plac Kwiatowy?

— Nie; ale podoba mi się ta nazwa; już się tam widzę umieszczonym. Którędy się tam idzie?

— Pójdiesz prosto ulicą Piekiełną i dostaniesz się na plac.

— Ten plac dotyka wody, skoro nazywacie go *quasis*, to niby wybrzeże? — rzekł Hoffman.

— Właśnie.

— A tą wodą jest Sekwana?

— Sekwana.

— Więc plac Kwiatowy dotyka Sekwany, czy tak?

— Ej! ty widzę znasz Paryż lepiej ode mnie, obywatelu Niemce.

— Dziękuję. Żegnam, czy mogę odejść?

— Masz tylko jedną formalność do spełnienia.

— Jaką?

— Wstąpisz do komisarza policji, i zażadasz karty pobytu.

— Bardzo dobrze! Żegnam.

— Poczekaj jeszcze. Z tą kartą udasz się do biura policji.

— Aha!

— I podasz adres swego mieszkania.

— Dobrze; i koniec?

— Nie, przedstawiś się w oddziale.

— Poco?

— Aby wykazać środki utrzymania.

— Zrobię to, i już po wszystkim?

— Jeszcze nie; trzeba złożyć jakąś ofiarę patrijotyczną

— Chętnie.

— I złożyć przysięgę nienawiści dla tyranów francuskich i obcych.

— Z całego serca. Dziękuję za te szacowne informacje.

— Pamiętaj przytem napisać czytelnie imię i nazwisko na karcie u drzwi.

— Uczynię to.

— Idź już obywatelu, przeszkadzasz nam.

Butelki były próżne.

— Żegnam was, obywatelu, uprzejmie dziękuję za tę grzeczność.

I Hoffman odszedł, wciąż z fajką w ustach, rozżarzoną jak nigdy. — I takie było oto jego wejście do stolicy Francji republikańskiej.

Przynęciła go ta powabna nazwa „Plac Kwiatowy”. Hoffman już widział w wyobrazni pokój z balkonikiem na ten cudowny plac Kwiatowy.

Zapomniał o grudzie i mroznym wietrze, zapomniał o śniegu i tej czarnej śmierci całej nautry. Kwiaty w jego wyobrazni wyrastały pod parą jego ust; widział same jaśminy i róże, mimo rynsztoków przedmieścia.

Dziewiąta biła, gdy przybył na plac Kwiatowy, który był zupełnie ciemny i pusty, jak wszystkie w zimie na północy. Tylko pustka i ciemności większe były jeszcze tego wieczora, niż gdzieindziej.

Hoffman zanadto uczuwał głód i zimno, by filozofować po drodze ale zajazdu na tym placu nie było.

Wodząc oczyma, dostrzegł nareszcie na rogu placu i ulicy Barillerie wielką latarnię czerwoną, między szymbami której migotała zatłuszczona lampka.

Latarnia ta wisiała i bujała się przyczepiona do żelaznego drąga w kształcie szubienicy, bardzo podatnego w tych czasach burzliwych, do powieszenia politycznego wroga.

Hoffman spostrzegł na czerwonym szkle zielonemi zgłoskami wykaligrafowany napis:

„Mieszkanie. Pokoje i gabinety ze sprzętami“.

Żywo zakłatał do drzwi wchodowych; drzwi się otw-
rzyły; podróżny wszedł omackiem.

Ostry głos zakrzyczał:

— Zamykać drzwi.

A wielki pies szczekając, zdawał się doń mówić:

— Baczność na nogi.

Umówiwszy się o cenę z gospodynią dość uprzejmą, wybrawszy pokój, Hoffman znalazł się w posiadaniu piętnastu stóp długości na osiem szerokości, tworzących razem pokój sypialny i gabinetek, za trzydzieści sou dziennie, wypłacanych co rano po wstaniu z łóżka.

Hoffman był tak uradowany, że zapłacił za dwa tygodnie zgóry, z obawy, aby mu nie odebrano tego szacownego lokalu.

To uczyniwszy położył się w łóżko dość wilgotne; ale każde łóżko jest łóżkiem dla młodzieńca 18-letniego.

A przytem, któż widział grymasić, mając szczęście mieszkać na placu Kwiatowym?

Hoffman wreszcie wywołał wspomnienie Antonji, a czyż raj nie jest zawsze tam, gdzie się wywołuje aniołów?

ROZDZIAŁ VII

JAKO MUZEA I BIBLIOTEKI BYŁY POZAMYKANE, I JAKO OTWARTY BYŁ PLAC REWOLUCJI

Pokój mający służyć przez dwa tygodnie za raj dla Hoffmana, mieścił łóżko, jak wiemy, stół i dwa krzesła.

Posiadał kominek ozdobiony dwoma wazonami z niebieskiego szkła, wypełniony kwiatami sztucznymi. Genjusz Wolności, zrobiony z cukru, paradował pod kloszem kryształowym, odbijającym trójkolorową chorągiew genjusza i jego czerwoną czapkę.

Lichtarz miedziany, szafka w murze ze starego drzewa różanego, kotara z dwunastego wieku zamiast firanek, oto całe umeblowanie, jakie ukazało się przy pierwszym blasku dnia.

Kotara ta przedstawiała Orfeusza grającego na skrzypcach dla odzyskania Eurydyki, a skrzypce przypominały naturalnie Hoffmanowi Zacharjasza Wenera.

— Kochany przyjaciel — myślał nasz podróżny — on jest w Paryżu, ja także; jesteśmy razem, i zobaczą się z nim dziś, a najdalej jutro. Od czego zacznę? Jak się urządzą, ażeby nie tracić bożego czasu i wszystko we Francji obejrzeć? Od wielu dni widzę tylko żywe obrazy bardzo brzydkie; trzeba pójść do salonów Luwru ex-tyrana, zobaczą same piękne obrazy, jakie posiadał: Rubensów, Poussin'ów. Idźmy prędzej.

Wstał, ażeby tymczasowo obejrzeć panoramiczny obraz ze swej kwatery.

Niebo szare, zamglone, czarne błoto pod białymi drzewami, ludność zaprzętniona, chciwa biegu i jakiś szelest, podobny do spływającej wody, oto wszystko co odkrył

Niebardzo to kwiecisto wyglądało. Hoffman zamknął okno, posilił się śniadaniem, i wyszedł dla zobaczenia się najprzód z Zacharjaszem Wernerem.

Ale w chwili wybrania kierunku, przypomniał sobie, że Werner nigdy mu nie dał swego adresu, bez którego trudnooby się było z nim zejść.

Nie była to najmniejsza przykrość dla Hoffmana.

Ale niebawem:

— Jakieżem nierozsądny — pomyślał; — co ja lubię, lubi także Zacharjasz. Ja mam chęć oglądać obrazy, będzie ją miał i on. Znajdę albo jego, albo ślad jego w Luwrze. Idźmy do Luwru.

Luwr widać było z parapetu. Hoffman skierował się ku pomnikowi.

Lecz z boleścią dowiedział się u drzwi pałacu, że francuzi, od czasu jak zostali wolni, nie rozgnusiewają się widokami malowania niewolników, i że, przypuszczając, co jest nieprawdopodobne, że gmina Paryża nie zużyła już tych wszystkich łachmanów na podpałki dla działolejni, to całym tym olejem żywić będzie szczury, przeznaczone na pokarm dla patriotów, wówczas, gdy prusacy przyjdą oblegać Paryż.

Hoffman uczuł pot występujący mu na czoło; człowiek tak mu to objaśniający, miał pewien sposób mówienia tracący powagę. Kłaniano się bardzo temu świetnemu mówcy.

Od jednego z obecnych Hoffman dowiedział się, że ma zaszczyt rozmawiać z obywatelem Simonem, wychowawcą *dzieci Francji* i konserwatorem muzeów królewskich.

— Nie zobaczę obrazów — rzekł sobie z westchnieniem; — wielka szkoda! Ale pójdę do biblioteki zmarłego króla, a jeżeli nie obrazy olejne, to zabaczę ryciny, niedale i rękopisma; zobaczę grobowiec Childeryka, ojca Chlodwiga, globusy niebieskie i ziemski Cornellego.

Przybywszy, z boleścią dowiedział się Hoffman, że naród francuski naukę i literaturę uważając za źródło zepsucia i złego obywatelstwa, pozamykał wszystkie przybytki, gdzie spiskowali rzekomi uczeni i rzekomi literaci, a to ze względu na ludzkość, by sobie oszczędzić konieczności gilotynowania tych biedaków. Wreszcie, nawet za czasów tyrana, biblioteka otwarta była tylko dwa razy na tydzień.

Hoffman musiał odejść nic nie widząc; zapomniał nawet zapytać się o przyjaciela Zacharjasza.

Ale ponieważ był wytrwały, zaciął się i chciał zobaczyć muzeum Saint - Avoye.

Uwiadomiono go wtedy, że właściciel został gilotynowany onegdaj.

Zmordowany i zniechęcony, wrócił do mieszkania, by dać nieco spoczynku nogom, pomarzyć o Antonji, o Zacharjaszu, i w samotności wypalić jaką dwugodzinną fajeczkę.

Ale, o cudło! Ten plac Kwiatowy, tak spokojny, pusty, aż się czernił od tłumu pospólstwa, które gziło się, pchało, wrzeszczało jęk w obozie.

Niewielkiego wzrostu, Hoffman nie widział nic poprzez te głowy; przebił się czempredziej spiczastemi łokciami przez tłum i wszedł do swego pokoju.

Tam stanął w oknie.

Wszystkie oczy natychmiast zwróciły się ku niemu, co go przez chwilę zaniepokoiło, tembardziej, że bardzo mało widział okien otwartych. Jednakże ciekawość obecnych zwróciła się niebawem na inny punkt, niż okno Hoffmana, a młodzieniec poszedł także oczyma za ciekawym, i patrzył na podjazd do wielkiego budynku czarnego o deskach spiczastych, którego kampanilla dźwigała wielką wieżę kwadratową.

Hoffman zawołał gospodynię.

— Obywatelko — rzekł — co to za budynek, proszę?

— To pałac, obywatelu.

— A co robią w tym pałacu?

— Sądzą.

— Ja myślałem, że trybunały już nie istnieją.

— Owszem, istnieje trybunał rewolucyjny.

— Ah! prawda... a wszyscy ci poczciwi ludzie?

— Czekają na przybycie wózków.

— Jakto, wózków? Nie rozumiem dobrze; wybaczcie mi, jestem cudzoziemcem.

— Wózki, obywatelu, to jakby tak mówiący, karawany dla ludzi, którzy mają umrzeć.

— Ah, mój Boże!

— Tak, zrana przybywają więźniowie, którzy się każą sądzić w trybunale rewolucyjnym.

— Rozumiem.

— O godzinnie czwartej wszyscy więźniowie są osądzeni, pakują ich w wózki, jakie obstalował dla nich obywatel Fouquier.

— A kto jest ten obywatel Fouquier?

— Oskarżyciel publiczny.

— Bardzo dobrze, a potem?

— Wtedy wózki jadą stępa na plac Rewolucji, gdzie stoi bez przerwy gilotyna.

— Doprawdy?

— Jakto! Wychodziłeś za miasto, obywatelu, i nie poszedłeś zobaczyć gilotyny? To pierwsza rzecz, którą zwiedzają cudzoziemcy zaraz po przybyciu; zdaje się, że tylko u nas, we Francji istnieją gilotyny.

— Winszuję pani.

— Trzeba mówić: obywatelko!

— Przepraszam.

— Widzisz oto, wózki nadchodzą.

— Odchodzicie, obywatelko?

— Tak, nie lubię już na to patrzeć!

I obywatelka gospodyni odeszła od okna.

Hoffman wziął ją lekko za rękę.

— Pozwólcie mi na jedno zapytanie — rzekł.

— Bardzo proszę.

— Dlaczego mówicie, nie lubię już na to patrzeć? Ja bym powiedział, nie lubię *wcale* na to patrzeć?

— Historia jest taka, obywatelu. Z początku gilotynowano arystokratów bardzo złych, jak się zdaje. Ludzie ci trzymali głowy tak prosto, wyglądali tak zuchwale, wyzywająco, że litość niebardzo nam łyzy wyciskała. Patrzyło się więc chętnie. Pięknie było widzieć tę walkę dzielnych wrogów narodu przeciwko śmierci. Ale oto raz zobaczyłam na wózku starca, którego głowa tłukła się o boki wózka. To było bolesne. Nazajutrz widziałam zokonnice. Potem znowu chłopca 14-letniego; nareszcie spostrzegłam dziewczynę na jednym wózku, matkę jej na drugim, a te dwie biedne kobiety przesyłały sobie pocałunki, nie mówiąc ani słowa. Były tak blade, patrzyły tak smutno, z tak bolesnym uśmiechem na ustach, te pałce poruszające się jedynie dla wyciśnięcia na ustach pocałunku, były tak drżące i tak białe, że nie zapomnę nigdy tego strasznego widoku, i przysięgam sobie nigdy się na niego nie narażać.

— Aha! więc to tak — rzekł Hoffman, oddalając się od okna.

— Tak, obywatelu! ale co to robicie?

— Zamykam okno.

— Dlaczego?

— Ażeby nie widzieć.

— Wy, mężczyźni!

— Widzicie, obywatelko, ja przybyłem do Paryża, ażeby się uczyć sztuki i oddychać wolnem powietrzem. Otóż, gdybym nieszczęściem zobaczył taki widok podobny do tego o jakim mi mówiłaś, gdybym zobaczył młodą dziewczynę, lub kobietę wleczoną na śmierć, a żalującą życia, obywatelko, ja myślałbym wtedy o mojej narzeczonej, którą kocham, i która być może... Nie, obywatelko, nie pozostanę ja długo w tym pokoju; czy macie jaki inny od tytu?

— Cicho! nieszczęśliwy, mówicie za głośno; gdyby was usłyszeli moi urzędnicy?

— Cóż to za jedni ci wasi urzędnicy?

— To tak się po republikańsku nazywają śludzy.

— I cóżby to było, jakby mnie usłyszeli wasi śludzy?

— Byłoby to, że za trzy lub cztery dni, mogłabym was widzieć na jednym z tych wózków, o godzinie czwartej po południu.

To rzekłszy tajemniczo, dobra kobiecina zeszła żywo ze schodów, a za nią posunął się i Hoffman.

Prześliznął się koło domu, gotów na wszystko, by uniknąć widowiska ludowego.

Gdy był już na rogu placu, błysnęły szable żandarmów, ruch się zrobił w tłumie, masy zawyły i puściły się pędem.

Hoffman, ile nóg mu starczyło, dobiegł do ulicy Saint-Denis, w którą wpadł jak szalony; jak młoda sarna przebiegł wpoprzek kilka rozmaitych uliczek i znikł w labiryncie zaułków gmatwających się między placem Feraille i halami.

Odetchnął nareszcie widząc się na ulicy Ferronerie, gdzie z przenikliwością poety i malarza, odgadł miejsce słynne zabójstwem Henryka IV-go.

Potem, wciąż idąc, wciąż szukając, przybył na środek ulicy S.-Honoré. Wszędzie przy jego przejściu zamykały się sklepy, okna niektórych domów zamykały się także, jak gdyby otrzymały jakiś znak.

Niebawem Hoffman dowiedział się przyczyny. Widział zwracające się dorożki wjeżdżające w ulice boczne; usłyszał cwał koński i poznał, że to żandarmerja; za niem, w pierwszym mroku wieczornym, dostrzegł ohydną mieszaninę łachmanów, rąk podnoszonych, potrząsanych pik i iskrzących oczu.

Przed tem wszystkiem wózek.

Z tego wiru, który szedł ku niemu, tak, że nie mógł już ani się schronić, ani uciec, usłyszał Hoffman wychodzące okrzyki tak ostre, tak żalosne, że nic tak przerażającego w życiu aż do dnia dzisiejszego o uszy mu się nie obiło.

Na wózku siedziała kobieta w bieli. Okrzyki te wydierały się z ust, z duszy, z całego podniesionego ciała tej kobiety.

Hoffman uczuł, że nogi zginają się pod nim. Te wycia rozerwały u niego wiązadła nerwowe, upadł pod domem głową na okiennicę sklepową źle domkniętą z pośpiechu.

Wózek nadjechał wśród eskorty łotrów i kobiet ohydnych, swych zwykłych satelitów; ale rzecz dziwna! cały ten kał nie wrzał, wszystkie te gady nie syczały, jedna tylko ofiara wiła się w ramionach dwóch ludzi i wołała do nieba, do ziemi, do ludzi i rzeczy.

Hoffman usłyszał naraz w ucho, przez szczelinę okiennicy, te słowa smutno wymówione głosem jakiegoś młodzieńca:

— Biedna Dubarry! i ty tu!

— Pani Dubarry! — zawołał Hoffman — to ona, to ona siedzi na tym wózku?

— Tak, panie — odpowiedział cichy i bolesny głos w ucho podróżnego, tak zbliżka, że przez deski czuł gorący oddech swego rozmówcy.

Biedna Dubarry trzymała się skurczona ruchomego przodu wózka; kasztanowate jej włosy, duma jej piękności, obcięte miała przy samym karku, ale spadały one na skronie w długich zwojach oblanych potem. Piękna ze swemi wielkimi oczyma błędnymi, z małemi usteczkami, zamała na wielkie okrzyki, jakie jej się wydierały, nieszczęśliwa kobieta od czasu do czasu potrząsała głową w ruchu konwulsyjnym, by oswobodzić twarz od zasłaniających ją włosów.

Przejeżdżając około rogu domu, przy którym upadł Hoffman, krzyknęła: „Ratunku! ratunku! jam nic złego

nikomu nie uczyniła! ratunku!" i omało nie przewróciła podtrzymującego ją czeladnika kata.

Tego okrzyku: Ratunku! nie przestawała wydawać wśród najgłębszego milczenia obecnych. Furje te, nawykłe znieważać dzielnych skazańców, czuły się poruszone rozpaczliwemi wybuchami niewieściego lęku; czuły że ich wycia nie zdołałyby pokryć tej gorączki stykającej się z obłąkaniem, a sięgającej tragicznych szczytów trwogi.

Hoffman powstał, nie czując już serca w piersi; puścił się za wózkiem równo z innymi, niby nowy cień dodany do tej procesji widm, stanowiących ostatnią eskortę faworyty królewskiej.

Spostrzegłszy go, pani Dubarry wołała jeszcze:

— Życia! życia!... oddaję cały majątek narodowi! Pani!... ratunku!...

— Oh! — pomyślał młodzieniec — ona przemówiła do mnie! Biedna kobieta, której spojrzenia kosztowały tak drogo, której słowa nie miały ceny; ona przemówiła do mnie!

Stanął, wózek zajechał na plac Rewolucji. W mroku zgęstwionym przez zimny deszcz, Hoffman widział tylko dwie sylwetki: jedną kobiety — to ofiara; drugą czerwoną — to szafot.

Widział oprawców ciągnących białą suknię po schodach. Widział tę postać łamiącą się dla oporu. Potem nagle, wśród pierzających okrzyków, biedna kobieta straciła równowagę i upadła na pomost.

Słyszał ją Hoffman krzyczącą: — „Zmiłuj się, panie kacie, jeszcze choć minutę, panie kacie...” — I po wszystkim, nóż spadł rzucając blask płowy.

Hoffman padł w rów okalający plac.

Śliczny to był obraz dla artysty, który przybył do Francji poić się wrażeniami i ideami.

Bóg ukazał mu zbyt srogą karę tej, która także ze swej strony przyczyniła się do zguby monarchji.

Ta oburzająca śmierć pani Dubarry wydała mu się rozgrzeszeniem nieszczęsnej kobiety. Nie miała więc nigdy godności w sobie, skoro nawet nie umiała umrzeć. Umieć umrzeć, niestety! w owych czasach było najwyższą cnotą jedynie tych, którzy nigdy nie znali występku.

Tego dnia rozmyślał Hoffman, że jeśli przybył do Fran-

cji dla zobaczenia rzeczy nadzwyczajnych, to podróż mu dopisała.

Wtedy pocieszony nieco przez filozofję dziejową:

— Pozostaje teatr — powiedział do siebie — idźmy do teatru. Wiem, że po tej aktorce, którą tylko com widział, artystki opery lub tragedji nie zrobią na mnie wrażenia, ale będą pobłażliwy. Nie trzeba zbyt wiele żądać od kobiet umierających na żart. Muszę wszakże dobrze zapamiętać ten plac i jego okolice, by nigdy w życiu nie przechodzić tędy.

ROZDZIAŁ VIII

SĄD PARYSA

Hoffman był człowiekiem nagłych przejść. Po placu Rewolucji i zgiełkowym tłumie zgromadzonym około ruszowania, po niebie mrocznym i krwi, potrzeba mu było blasku i żyrandoli, tłumy wesołego, kwiatów — słowem, życia. Nie był zupełnie pewny, czy widok, jakiemu był obecny, zatrze mu się w ten sposób w myśli, lecz chciał przynajmniej sprawić rozterkę oczom i przeświadczyć się, że są jeszcze ludzie, którzy żyją i śmieją się.

Skierował się więc do Opery: ale doszedł tam sam nie wiedząc jak. Postanowienie szło przed nim, a on poszedł za niem, jak ślepy za psem, podczas gdy umysł podwiewał w kierunku przeciwnym, poprzez wrażenia zgoła odmienne.

Jak na placu Rewolucji, tak tłum był i na bulwarze, kędy w owe czasy znajdował się teatr Opery, tam, gdzie dziś znajduje się teatr Porte-Saint-Martin

Hoffman zatrzymał się przed tym tłumem i spojrzał na afisz. Grano „Sąd Parysa“ pantominę taneczną w trzech aktach, układu imcipana Gardela młodszego, syna tanecznika Marji Antoniny, który później był mistrzem baletów cesarskich.

— *Sąd Parysa* — pomrukiwał poeta patrząc w afisz. jakby chciał za pomocą oczu i słuchu wbić sobie do głowy znaczenie tych dwóch słów: „Sąd Parysa“.

Daremnie powtarzał zgłoski składające tytuł baletu. zdawały mu się one pozbawione znaczenia, tak daicce anyśl jego trudziła się nad odrzuceniem okropnych, przepelniających ją wspomnień; nie mógł narazie trafić na

domyśl, że dzieło imcipana Gardela młodszego wykrojone jest z Iljady Homera.

Jakaż to szczególna epoka, gdzie w jednym i tym samym dniu widziało się zrana, wyrok skazujący na śmierć, wykonanie wyroku i godzinie czwartej, wieczorem tańce, a po tych wszystkich wzruszeniach można było samemu za powrotem dostać się do ciupy.

Hoffman doszedł do przekonania, że jeśli kto inny nie powie mu, co grają, to on sam się nie domyśli, i może zwarjuje przed tym afiszem.

Podszedł do jakiegoś grubego jegomościa stojącego w końcu szeregu z żoną, i zapytał:

— Panie, co to grają dzisiaj?

— Widzisz pan przecież na afiszu — odparł gruby jegomość — grają „Sąd Parysa“.

— „Sąd Parysa“... — powtórzył Hoffman. — A! tak, Sąd Parysa, wiem, co to jest.

Gruby jegomość spojrział na tego dziwnego młodzieńca, i wzruszył ramionami z miną najgłębszej pogardy dla ignorantą, który w tym czasie wielce mitologicznym, mógł na chwilę zapomnieć o tem, co znaczył sąd Parysa.

— Chcesz mieć objaśnienie baletu, obywatelu? zawołał sprzedawca libret, podchodząc do Hoffmana.

— I owszem, proszę.

Był to jeden dowód więcej, że nasz bohater idzie do teatru, a bardzo on takiego dowodu potrzebował.

Otworzył libretta i rzucił na nie okiem.

Książeczka była wydrukowana zalotnie, na pięknym papierze białym i wzbogacona wstępem autora.

— Co za osobliwa istota, ten człowiek! — myślał sobie Hoffman patrząc w kilka wierszy tego wstępu, których jeszcze nie czytał, ale miał czytać — jak to on, wchodząc w skład wspólnego ciała ludzkiego, idzie sam samotnie i obojętnie po drodze interesów i ambicji osobistych! Oto naprzykład, ten pan Gardel młodszy, który wystawił pierwszy raz swój balet w dniu 5-ym marca 1793 roku, to jest, w sześć tygodni po śmierci króla, czyli, po jednym z największych wypadków świata. W dniu, w którym przedstawiono pierwszy raz ten balet, autor doznawał wrażeń osobistych wpośród wrażeń ogólnych; serce mu biło, kiedy go oklaskiwano; a gdyby mu w tej chwili mówili o owym wypadku wstrząsającym światem

i wspomniano imię Ludwika XVI-go, zawołałby: Ludwik XVI-ty, kto to jest? Potem, jak gdyby od dnia, w którym oddał swój balet publiczności, cała ziemia nie powinna mieć innego zajęcia nad ten ewenement choreograficzny, napisał wstęp objaśniający jego pantominę. Przeczytajmy więc jego przedmowę, i zobaczymy, czy, ukrywając datę dnia kiedy była napisana, znajdem tam ślad rzeczy, wpośród których się narodziła.

Hoffman oparł się o balustradę teatru, i oto co przeczytał:

„Zawsze uważałem w baletach o akcji dramatycznej, że efekty dekoracyjne i zabawy urozmaicone a przyjemne, najwięcej ściągają publiczności i oklasków“.

— Trzeba przyznać, że ten człowiek ciekawą uczynił uwagę — pomyślał Hoffman, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu na tę pierwszą naiwność. Jaktó! On zauważył, że w baletach efekty dekoracyjne i zabawy przyjemne, najbardziej ściągają publiczność. Jak to grzeczne dla takich panów jak Haydn, Pleyel i Mèhul, którzy ułożyli muzykę do *Sądu Parysa!* Czytajmy dalej:

„Według tej uwagi, szukałem przedmiotu mogącego się nadać do uwydatnienia wielkich talentów, jakie Opera paryska posiada w zakresie tańca, a mnie pozwalającego rozszerzyć ideje następczone przez przypadek. Historia poetyczna jest gruntem niewyczerpanym, który mistrz baletu uprawiać winien; grunt to nie bez cierni, ale trzeba je umieć odgarniać, aby zerwać róże“.

— No! to już frazes godny oprawienia w złote ramy! — zwołał Hoffman. — To tylko we Francji można takie rzeczy pisać.

I wciąż patrzył w libretto, gotując się dalej zagłębiać w to pismo, które zaczynało go bawić; ale umysł jego oderwany od istotnego zajęcia, zwracał się doń powoli; litery gmatwały się w oczach zadumanego, wypuścił z ręki „Sąd Parysa“, utkwiał wzrok w ziemię i szepnął:

— Biedna kobieta!

To cień pani Dubarry raz jeszcze przemknął przez myśl młodzieńca.

Potrząsnął głowę, jakby chcąc gwałtem wypędzić z niej ponure rzeczywistości, a schowawszy do kieszeni libretto incipana Gardela młodszego, wziął bilet i wszedł do teatru.

Sala była przepelniona, lśniaca od kwiatów, klejnotów, jedwabi i nagich ramion. Usłyszał szmer kobiet wyperfumowanych, ulotnych gawędek, podobny do brzęku tysiąca much latających w papierowym pudełku, a pełen słówek zostawiających taki sam ślad, jak skrzydła motyla na palcach chwytających je dzieci.

Hoffman zajął miejsce w orkiestrze, i owładniony gorącą atmosferą sali, myślał przez chwilę, że bawi tam od rana, a ten przerażający zgon wciąż przytomny jego myśli, jest zmorą, nie zaś rzeczywistością. Wtedy pamięć jego nieznacznie zwróciła się ku tej dziewicy, którą zostawił daleko, w kraju, i której medaljon czuł bijący na sercu jak drugie serce. Popatrzył po wszystkich otaczających go kobietach, po białych ramionach, po włosach płowych i czarnych, po rękach iggrających ze skrzydłami wachlarza lub poprawiających zalotnie kwiaty i ubrania i uśmiechnął się do siebie, wymawiając imię Antonji, jak gdyby samo to imię wystarczyło do zatarcia wszelkiego porównania pomiędzy tą, którą je nosi i znajdującymi się tu kobietami, i do przeniesienia go w świat wspomnień tysiakkroć bardziej uroczych, niż wszystkie te rzeczywistości, jakkolwiek piękne.

Potem, jakgdyby tego nie było jeszcze dosyć, i jakgdyby się obawiał, ażeby portret widziany z odległości nie zatął się w ideale kreślonym mu przez myśl własną, Hoffman lekko wsunął rękę na piersi, ujął medaljon, jak bojaźliwa dziewczyna ujmuje ptaszka w gniazdku, i upewniwszy się, że nikt go widzieć nie może i skazać spojrzeniem lubego obrazu, który bierze do ręki, ściągnął lekko portret do poziomu oczu, uczcił go przez chwilę wejrzeniem, i schował napowrót przy sercu, tak, że nikt nie domyślił się radości, jakiej ten młody widz o czarnych włosach i bladej twarzy doświadczył, czyniąc ruch taki, jakby sięgnął ręką do kieszonki od kamizelki.

W tej chwili dano znak, i pierwsze nuty uwertury wesoło obiegać zaczęły w orkiestrze, niby kłótniwie zięby po gaju.

Hoffman usiadł, usiłując wyrwać się z pod innych wrażeń i pozostać tylko uważnym słuchaczem; otworzył oba uszy na muzykę.

Ale po pięciu minutach nie słuchał już i nie chciał stu-

chać; nie taką to muzyką można było przykuć uwagę Hoffmana, tembardziej, iż słuchał on jej podwójnie, gdyż jeden z sąsiadów, zapewne bywalec teatralny a wielbiciel panów Heydna, Pleyela i Mèhula, fałszywym półgłosikiem, z całą wreszcie dokładnością frazesów, wtórował melodjom tych panów. Z tym wtórem ustnym, dyletant łączył wtór palców, wybębniając z dziwną wprawą takt długien i wysmukłemi paznogciami na tabakierce trzymanej w icwej ręce.

Z ciekawością, stanowiącą pierwszy przymiot wszystkich postrzegaczy, Hoffman przypatrywał się temu jegomościowi, który w osobie swej stanowił orkiestrę szczególną, szczepioną na orkiestrze ogólnej.

Rzeczywiście, jegomość ten wart był bliższego rozpoznania.

Wyobraźcie sobie małego człowieczka, ubranego we frak, kamizelkę i spodnie czarne, w koszulę i chustkę białą, ale białości więcej, niż białej, dla oczu prawie tak męczącej, jak srebrzysta biel śniegu. Na ręce tego człowieka, chude, przezroczyste jak wosk, a odbijające na czarnych spodniach tak, jakby były zwewnątrz oświetlone — na te ręce włożcie mankietki z białego batystu, wyrurkowane z największą starannością, a giętkie jak kwiaty liljowe, a będziecie mieli całość ciała. Spójrzycie teraz na głowę, ale tak, jak spoglądał Hoffman, to jest, z ciekawością połączoną z zadziwieniem. Wyobraźcie sobie twarz owalną, z czołem gładkiem jak kość słoniowa, nak którym spoczywały włosy rzadkie i płowe, rosnące kępami, jak krzaki na polu. Odejmiście brwi, a poniżej miejsca, gdzieby się znajdować powinny, zróbcie dwa otwory, w które włożycie po oku zimnem jak szkło, prawie zawsze nieruchomem, wyglądającym tembardziej na martwe, że daremnie byłoby szukać w tych oczach tego świetlanego punktu, który Bóg tam włożył jako iskrę życiowego ogniska. Oczy te niebieskie są jak szafir, bez słodyczy, bez ostrości. Widzą one, to rzecz pewna, ale nie patrzą. Nos suchy, szczupły, długi i spiczasty, usta małe, z pod których wystają zęby nie białe, ale tej samej barwy woskowej co skóra podbródek ostro zakończony, wygolony starannie. kości policzkowe wystające, lica zapadłe, tak, że w każdą wklęsłość możnaby włożyć orzech laskowy; oto rysy charakterystyczne widza sąsiadującego z Hoffmanem.

Człowiek ten mógł tak dobrze mieć pięćdziesiąt, jak trzydzieści lat. Gdyby miał osiemdziesiąt, i to nie byłoby niczem nadzwyczajnym; gdyby dwanaście, i to nie byłoby nieprawdopodobnem. Zdawało się, że musiał już na świat przyjść takim jakim jest. Nigdy zapewne nie był młodszym, a mógł też i wydawać się starszym niż był.

Co pewna, to za dotknięciem jego skóry, możnaby otrzymać wrażenie zimna, jakoby za dotknięciem się węża lub trupa.

Ależ on to dopiero lubił muzykę.

Od czasu do czasu usta jego martwe poruszały się nieco pod naciskiem rozkoszy dźwiękolubnej, a tazy zmarszczki ściśle z każdej strony jednakowe, opisywały półkole na kończyźnie warg i pozostawały tam z pięć minut, potem zachodziły jak te koła utworzone przez kamień spadający w wodę, a rozrzucające się wciąż do zupełnego zlania się z powierzchnią.

Hoffman nie mógł się napatrzeć temu człowiekowi, który czuł, iż jest przedmiotem badania, ale nic sobie z tego nie robił. Jego nieruchomość była taka, że poeta nasz, który miał już wówczas w głowie pierwszy zarys później utworzonego swego *Coppeliusa*, oparł się oburącz na poręczy stali przed sobą, przechylił się naprzód, i zwracając się na prawo, usiłował zajrzeć prosto w twarz temu, którego widział tylko z profilu.

Człowieczek patrzył na Hoffmana bez zdziwienia, uśmiechał się doń, przyjaźnie mu się skłonił i patrzył dalej w tenże sam punkt, widzialny tylko dla niego, wciąż wtórował orkiestrze.

— Dziwna rzecz! — pomyślał Hoffman, siadając napowrót — założylibym się, że on nie żyje.

I, lubo widział poruszającą się głowę sąsiada, młodzieniec jakby przekonany, że reszta ciała jest martwą, znowu zwrócił oczy na ręce tego człowieka. Jedna rzecz go uderzyła wtedy, mianowicie, że na tabakierce hebanowej, po której bębnił, błyszczała wyrobiona z brylantów trupa główka.

Cały więc ten dzień miał przybrać w oczach Hoffmana jakieś odcienia fantastyczne; ale postanowił sobie docierać do końca; i przychyłając się na dół, jak przedtem,

przechylał się naprzód, wlepił oczy w tę tabakierkę tak, że jego usta dotykały prawie rąk trzymającego.

Badany człowiek widząc, że tabakierka tak wzbudza zajęcie sąsiada, podał mu ją milcząco, aby się jej napa-trzył dowoli.

Hoffman wziął ją, przewracał na wszystkie strony, na-reszcie ją otworzył. Była w niej tabaka.

ROZDZIAŁ IX

A R S E N J A

Przyjrząwszy się tabakierce z największą uwagą, Hoffman oddał ją właścicielowi, dziękując milczącym znakiem głowy, na który właściciel odpowiedział równie uprzejmie, lecz jeśli można, jeszcze bardziej milcząco.

— Zobaczymy teraz, czy on mówi — pomyślał Hoffman.

I zwracając się do sąsiada, rzekł doń:

— Przepraszam pana za niedyskrecję — ale ta trupia główka brylantowa, zdobiąca waszą tabakierkę, zdziwiła mnie zrazu, bo rzadka to ozdoba na tabakierkach.

— Istotnie, zdaje mi się nawet, że to jedyna, jaką zio-
biono — odezwał się nieznajomy głosem metalicznym,
podobnym do dźwięku pieniędzy układanych w stos —
mam ją od wdzięcznych spadkobierców, których leczy-
łem ojca.

— Pan jesteś lekarzem?

— Tak, panie.

— I wyleczyłeś ojca tych młodych ludzi?

— Przeciwnie, straciliśmy go.

— Tłumaczę sobie tę wdzięczność.

Lekarz się rozśmiał.

Odpowiedź dawana Hoffmanowi nie przeszkadzała mu nucić; nucił też:

— Tak — odrzekł — zdaje mi się, że ja zabiłem tego starca.

— Jakto, zabiłeś pan?

— Odbyłem na nim próbę nowego lekarstwa. Oh! po godzinie już nie żył. Istotnie, to pocieszne.

I znowu zaczął nucić.

— Pan zdajesz się lubić muzykę — rzekł Hoffman.

— Zwłaszcza tę; tak, panie.

— Do licha! — pomyślał Hoffman, ten człowiek myli się na muzyce, tak samo jak na lekarstwach.

W tej chwili podniesiono zasłonę.

Dziwny lekarz zarzył tabaki i usadowił się jak mógł najwygodniej w stalli, widocznie niczego nie chcąc z widowiska uronić.

Rzekł jednak do Hoffmana jakby po namyśle:

— Pan jesteś Niemiec?

— Istotnie.

— Poznałem po akcencie. Piękny kraj, paskudny akcent.

Hoffman skłonił się na tę półpochwałę względnie do Niemiec.

— A w jakim celu przybyłeś pan do Francji?

— Dla zobaczenia.

— I cóż pan widział dotąd?

— Gilotynowanie.

— Byłeś dziś na placu Rewolucji?

— Byłem.

— To widziałeś śmierć pani Dubarry?

— Widziałem — odrzekł Hoffman z westchnieniem.

— Znałem ją dobrze — mówił dalej lekarz ze spojrzeniem znaczącem, posuwajacem wyraz *znałem*, aż do ostatnich granic znaczenia. — Piękna niewiasta, ani słowa!

— Czy i ją pan leczyłeś?

— Nie, ale jej negra, Zamora.

— Nędznik! mówiono mi, że to on denuncjował swą panią.

— Istotnie, był to wielki patryjota, ten murzynek.

— Trzeba było panu zrobić z nim to, co zrobiłeś z tym starcem, wiesz pan, od tabakierki.

— A to poco? tamten nie miał spadkobierców.

I znowu zabrzmiał śmiech lekarza.

— A pan, czy nie byłeś przy tej egzekucji? — zapytał znów Hoffman, który uczuwał nieprzepartą potrzebę rozmawiania o tej nieszczęśliwej istocie, której go krwawy obraz nie opuszczał.

— Nie. Czy schudła?

— Kto?

— Hrabina.

— Tego panu powiedzieć nie umiem.

— Dlaczego?

— Pierwszy raz w życiu widziałem ją na tym wózku.

— Szkoda. Chciałbym był to wiedzieć, bom znał ją bardzo tłąstą; jutro pójdę obeirzeć jej ciało. Ale, patrzajno pan.

I jednocześnie lekarz pokazał na scenę, gdzie w tej chwili imcipan Vestris, grający rolę Parysa, ukazał się na górze Idzie, i stroił różne załecanki do nimfy Enony.

Hoffman spojrział na to, co mu pokazywał sąsiad; lecz upewniwszy się, że ten dziwny lekarz istotnie bardzo uważa na scenę, a to, czego słuchał i o czym mówił, żadnego śladu w umyśle jego nie zatraciło:

— Ciekawą rzeczą byłoby — pomyślał sobie Hoffman:— widzieć tego człowieka płaczącym.

— Czy znasz pan treść sztuki? — zapytał po kilku minutach milczenia doktor

— Nie, panie.

— Bardzo interesująca. Są tam nawet sytuacje wzruszające. Jeden z mych przyjaciół i ja, niedawno mieliśmy łzy w oczach.

— Jeden z jego przyjaciół! — szepnął w duchu Hoffman — któż to może być przyjacielem tego człowieka? Chyba cmentarnik.

— Brawo! brawo Vestris! — pokrzykiwał człowieczek klaszcząc w ręce.

Dla wyrażenia podziwu, lekarz wybrał chwilę, w której Parys, jak wskazywało nabyte przez Hoffmana libretto, chwyta dzidę i biegnie na pomoc pasterzom uciekającym przed srogim lwem.

— Nie jestem ciekawy, ale chciałbym widzieć lwa.

Tak się zakończył akt pierwszy.

Wtedy doktor wstał, odwrócił się, oparł plecami o stałą umieszczoną przed swoją, i tabakierkę zamieniając na małą lornetkę, jął lornetować kobiety siedzące w sali.

Hoffman machinalnie powiódł wzrokiem w kierunku lornetki, i ze zdziwieniem zauważył, że osoba lornetowana, drgała i natychmiast zwracała oczy ku lornetującemu, tak jakby zmuszona do tego siłą nieprzewycięzoną. Pozostała w tem położeniu dopóki ją lornetował doktor.

Czy i ta lornetka pochodzi od którego ze spadkobierców? — zapytał Hoffman.

— Nie, pochodzi od pana Woltera.

— To i jego pan znałeś?

— Bardzo blisko.

— Byłeś jego lekarzem?

— On nie wierzył w medycynę. Co prawda, to w niewiele co wierzył.

— Czy prawda, że się przed śmiercią spowiadał?

— On, Arouet? Cóż znowu! Nietylko się nie spowiadał, ale ślicznie urządził księdza, który go przyszedł na śmierć dysponować. Mógłbym panu coś o tem powieścić ze świadomością, byłem tam.

W tem dano znak drugiego aktu.

— Ah! — odezwał się doktor siadając z uśmiechem zadowolenia — zobaczymy Arsenję.

— Któż to jest ta Arsenja?

— Nie znasz jej pan?

— Nie.

— Ależ to pan nic nie znasz. Arsenja, jest to Arsenja i koniec; wreszcie zobaczysz.

I orkiestra uderzyła, doktor zaczął znów nucić introdukcję do drugiego aktu.

Zasłona się podniosła.

Teatr przedstawiał „altanę z kwiatów i zieloności, pomiędzy którymi przebiega strumyk wytryskujący z podnóża skały“.

Hoffman opuścił głowę na ręce.

Stanowczo, co widział, co słyszał, nie mogło oderwać go od bolesnej myśli i czarnego wspomnienia, które przyprowadziły go tam, gdzie się znajdował.

— Cóżby to zmieniło? — pomyślał cofając się nagle do wrażeń dnia — cóżby to zmieniło na świecie, gdyby byli zostawili życie tej nieszczęsnej kobiecie? Cóżby złego się stało, gdyby to serce nie ustawało bić, te usta oddychać? Jakież stąd nastąpiłoby nieszczęście? Jakiem prawem zatrzymywać życie w pełnym biegu? Dobrzeby tu jej było wśród tych kobiet, gdy tymczasem w tej godzinie, biedne jej ciało, niegdyś rozkosz króla, leży w błocie cmentarza, bez kwiatów, bez krzyża, bez głowy. Jak ona krzyczała, Boże mój! jak ona krzyczała! a potem naraz...

Hoffman ukrył czoło w rękach.

— Co ja tu robię? — rzekł do siebie — oh! wyniosę się stąd!

I byłby może się wyniósł, ale podniósłszy głowę, spostrzegł na scenie tancerkę nie występującą w pierwszym akcie, a na którą spoglądała cała sala bez najmniejszego ruchu, powstrzymując oddech.

— Oh! jakaż to piękna kobieta! — zawołał Hoffman; tak głośno, że usłyszeli go sąsiedzi, a nawet sama tancerka.

Ta, co zbudziła ten nagły podziw, spojrzawszy na młodzieńca, który mimowolnie wydał okrzyk uwielbienia; a Hoffman mniemał, iż dziękuje mu spojrzeniem.

Zaczerwienił się i drgnął, jakby dotknięty iskrą elektryczną.

Arsenja, czyli tancerka, której imię wymówił przedtem mały staruszek, była istotą rzeczywiście uroczą, a piękność jej nie posiadała nic z piękności tradycyjnej.

Była wysoka, ślicznie zbudowana, o błądoci przezroczystej pod czerwienidłem okrywającym jej lica. Nóżki miała drobne, a gdy upadała na powalę teatru, zdawało się, że koniuszkami palców spoczywa na obłoku, bo nie słychać było najmniejszego szeletestu. Kibić jej była tak szczupła, giętka, że zmija nie owinęłaby się koło siebie tak, jak ta kobieta. Ilekroć przychyliła się wtył, zdawało się, że gorset jej pęknie, a po energii tańca, po sprężystości ciała, odgadnąć było można pewność piękności zupełnej i tę naturę gorącą, która jak w starożytnej Mescalinie, może się niekiedy znużyć, ale nigdy nasycić.

Nie uśmiechała się jak zwykle tancerki, purpurowe jej usta nie otwierały się prawie nigdy, nie dlatego, iżby miały do zakrycia brzydkie zęby, gdyż w uśmiechu zwróconym do Hoffmana, poeta nasz mógł dostrzec podwójny rząd pereł tak białych, tak czystych, że dlatego zapewne chowała je za ustami, by ich nie zbrukało powietrze. W jej włosach czarnych i lśniących, z połyskami niebieskimi, tkwiły szerokie liście akantusa, i zwieszały się grona winne, których cień padał na jej obnażone ramiona. Oczy miała wielkie, przejrzyste, czarne, błyszczące tak, że oświecałyby miejsce tańca.

Co zaś dodawało oryginalności tej dziewczynie, to, że bez żadnego powodu, w tej roli nimfy, nosiła mały na-

szyjnik z czarnego aksamitu, przepięty węzłem z djamentów, rzucających blaski olśniewające.

Doktor patrzył na tę kobietę całemi oczyma, a dusza jego, dusza jaką mógł mieć, zdawała się zawieszoną u łotu młodej kobiety. Widoczna, że póki tańczyła, nie odychał.

Wtedy Hoffman mógł zauważyć jedną rzecz ciekawą: tancerka czy szła na prawo, czy na lewo, naprzód lub wstecz, nigdy oczy jej nie opuszczały linii oczu doktora. i widoczny był stosunek wzajemny, ustanowiony między wzrokami. Co większa, Hoffman widział bardzo wyraźnie, ja promienie rzucane przez djamentowy węzeł od naszyjnika Arsenji, i te, które rzucała trupia główka doktora, spotykały się na połowie drogi w linii prostej; zdawało się, odpychały, i tryskały w jednym wybuchu, powstającym z tysiąca białych, czerwonych i złotych.

— Pozwoli mi pan swojej lornetki? — rzekł Hoffman dyszący i nie odwracając głowy, bo nie mógł w żaden sposób przestać patrzeć na Arsenję.

Doktor wyciągnął rękę do Hoffmana bez najmniejszego ruchu głowy, tak że ręce obu widzów szukały się chwil kilka w próżni, nim się spotkały.

Hoffman chwycił nareszcie lornetkę i przycisnął ją do oczu.

— To rzecz osobliwa — rzekł zcicha.

— Co takiego? — zapytał doktor.

— Nic, nic — odparł Hoffman, który chciał całą uwagę zwrócić na to, co widział.

Istotnie, to, co widział, było osobliwe.

Lornetka tak dalece zbliżała przedmioty do oczu, że dwa, lub trzy razy Hoffman wyciągnął rękę, zdając się chwytać Arsenję, która ukazywała mu się już nie na końcu odbijającego ją szkła, lecz między dwoma szklami lornety. Nasz Niemiec tedy nie tracił żadnego szczegółu piękności tancerki, a jej spojrzenia, już i bez tego błyszczące zdaleka, czoło jego otaczały ognistym kołem, i sprawiały wrzenie krwi w żyłach jego skroni.

Dusza młodzieńca straszny hałas wyprawiała w jego ciele.

— Co to za kobieta? — zapytał głosem słabym, nie puszczając lornetki i nie poruszając się.

— To Arsenja, jużem panu powiedział — odrzekł dok-

tór, którego wargi tylko zdawały się żyć, a wzrok nieruchomy wlepiony był w tancerkę.

— Ta kobieta ma zapewne kochanka?

— Ma.

— Którego kocha?

— Tak powiadają.

— Czy bogaty?

— Bardzo.

— Kto to jest?

— Spójrzij pan w lewo, na dolne przedszenie.

— Nie mogę odwrócić głowy.

— Zrób wysiłek.

Hoffman zrobił wysiłek tak bolesny, że aż krzyknął, jak gdyby nerwy jego szyi stały się marmurowemi i w tej chwili pękły.

Spojrzał na wskazane przedszenie.

Był tam tylko jeden człowiek, ale człowiek ten, rozparty jak lew na aksamitnej balustradzie, zdawał się sam jeden przedszenie to wypełniać.

Był to człowiek trzydziestokilkoletni, z twarzą zoraną przez namiętności; rzekłbyś, że to nie ospa, ale wybuch wulkanu powydrażał doliny, których zagłębienia krzyżowały się na tem poszarpanem ciełe; oczy jego musiały być małe, ale roztworzyły się skutkiem jakiegoś rozdarcia duszy; raz były bezbarwne i puste, jak wygasły krater, to znowu buchały płomieniami, jak krater kipiący. Nie klaskał on w ręce, ale uderzał w balustradę, a przy każdym takim poklasku zdawało się, że wywróci salę.

— Oh! — rzekł Hoffman — czy to człowieka ja widzę?

— Tak, to człowiek — odparł czarny doktor — tak, to człowiek, a nawet tęgi człowiek.

— Jak się nazywa?

— Pan go nie znasz?

— Nie, przybyłem dopiero wczoraj.

— Otóż to jest Danton.

— Danton! — zawołał Hoffman z drgnieniem. — Oh! oh! i to kochanek Arsenji?

— Jej kochanek.

— I pewnie ją kocha?

— Do szalu! a zazdrosny do wściekłości.

Lecz jakkolwiek interesującym był Danton, już Hoff-

man zwrócił oczy na Arsenję, której cichy taniec wygładził na zjawisko fantastyczne.

— Jeszcze jedno objaśnienie, panie.

— Słucham — rzekł doktor.

— Jaki to kształt ma spinka, zamykająca jej naszyjnik.

— Kształt gilotyny.

— Gilotyny?

— Tak, robią bardzo ładne, i wszystkie nasze elegantki mają choć po jednej. Tę, którą ma Arsenja, podarował jej Danton.

— Gilotyna, gilotyna na szyi tancerki! — powtarzał Hoffman, który czuł, że mu się mózg wzdyma — gilotyna, dlaczego?

I nasz Niemiec, którego można było wziąć za pomieszanego, wyciągnął ręce przed siebie, jakby dla pochwycenia jakiegoś ciała, gdyż, dziwnem złudzeniem optycznym, przestrzeń dzieląca go od Arsenji zniknęła niekiedy, i zdawało mu się, że czuje oddech tancerki na czole, słyszy garące tchnienie jej piersi, której gors napoły obnażony podnosi się, jakby pod rozkosznym uściskiem. Hoffman wpadł w taki stan podniecenia, w którym zda się człowiekowi, że oddycha ogniem, a obawia się, żeby zmysły nie rozsadziły ciała.

Dosyć! dosyć! — mówił.

Ale taniec szedł dalej, a halucynacja była taka, że mieszając dwa najsilniejsze wrażenia dzienne, umysł Hoffmana łączył z tą sceną wspomnienie placu Rewolucji; raz zdawało mu się, że widzi panią Dubarry, bladą, z głową odciętą, tańczącą na miejscu Arsenji, to znowu, że widzi Arsenję zbliżającą się w tańcu aż do podnóża gilotyny, do rąk kata.

W podnieconej wyobraźni młodzieńca tworzyła się mieszanka kwiatów i krwi, tańca i konania, życia i śmierci.

Nad tem wszystkim jednak panował elektryczny przyciąg ku tej kobiecie. Ilekroć dwie jej wybornie utoczone nogi przechodziły przed jego oczami, ilekroć ta przezroczysta spódniczka unosiła się nieco wyżej, dreszcz przebiegał po całej jego istności, wargi schły, oddech palił, a żądza wkraczała niepowściągnięta w jego dwudziestoletnią pierś.

W tym stanie Hoffman miał tylko jedną ucieczkę; był

to portret Antonji, medaljon, który nosił na piersi, przeciwstawienie miłości czystej do żądzy zmysłowej; potęgę czystego wspomnienia, którą trzeba było postawić naprzeciw nagabującej rzeczywistości.

Chwycił ten portret i podniósł go do ust; lecz zaledwie uczynił ruch, usłyszał ostry śmiech sąsiada, który patrzył nań szyderczo.

Puść mnie pan — zawołał — puść; ja tu dłużej wytrzymać nie mogę.

I jak szalony wybiegł z orkiestry, depcząc po nogach, potrącając spokojnych widzów, krzywiących się na tego oryginała, któremu przychodzi fantazja opuszczać teatr wśród baletu.

ROZDZIAŁ X

DRUGIE PRZEDSTAWIENIE „SĄDU PARYSA“

Ale rozpęd Hoffmana nie zawiódł go daleko. Zatrzymał się na rogu ulicy S. Marcina.

Pierś jego dyszała, z czoła lał się pot.

Przecięgnął lewą ręką po czole, prawą przycisnął do serca i odetchnął.

W tej chwili ktoś dotknął jego ramienia. Drgnął.

— Ah! Ależ to on — odezwał się jakiś głos.

Obejrzał się i krzyknął.

Był to jego przyjaciel, Zacharjusz Werner.

Dwaj młodzieńcy rzucili się sobie w objęcia

Potem skrzyżowały się dwa ich zapytania:

— Co ty tu robisz?

— Dokąd idziesz?

— Ja przybyłem wczoraj — rzekł Hoffman — widziałem gilotynowaną panią Dubarry, i dla rozrywki poszedłem do teatru.

— Ja zaś przybyłem pół roku temu, widzę gilotynowanych codziennie dwadzieścia do dwudziestu pięciu osób, a dla rozrywki chodzę grać.

— O!

— Czy pójdziesz ze mną?

— Nie, dziękuję.

— Szkoda, jestem przy wienie; przy twym zwykłym szczęściu zrobiłbyś majątek. Musisz się piekielnie nudzić w Operze, ty, coś nawykł do muzyki prawdziwej; pójdz ze mną dam ci posłyszeć wspaniałą.

— Muzykę?

— Tak, muzykę złotą; nie licząc, że tam gdzie ja cho-

dzę, łączą się wszystkie przyjemności: kobiety urocze, wieczerze doskonałe, gra zawzięta!

— Dziękuję ci, mój drogi, niepodobna! Przyrzekłem. więcej — przysięgam.

— Komu?

— Antonji.

— Widziałeś ją więc?

— Kocham ją, mój drogi, wielbię.

— Aha! teraz rozumiem twoje opóźnienie. I przysięgłeś jej...

— Nie grać, i...

Hoffman zaciął się.

— Cóż jeszcze więcej? — zapytał Werner.

— I pozostać jej wiernym — przebąkał Hoffman.

— To nie chodź pod nr. 113.

— Cóż jest nr. 113?

— To dom, o którym tylko co mówiłem. Ja, ponieważ nic nikomu nie przysięgałem, idę tam. Dowidzenia, Teodorze.

— Do widzenia, Zacharjaszu.

I Werner oddalił się, a Hoffman stał przykuty do miejsca.

Kiedy Werner był już o sto kroków, przypomniał sobie Hoffman, że zaniedbał zapytać go o adres, a za jedyną wskazówkę pozostał mu numer domu gry.

Ale ten adres zapisał się w mózgu Hoffmana jak naderzwiami złowrogiego miasta, cyfrą ognistą!

Jednakże to, co się stało, uśmierzyło nieco wyrzuty Hoffmana. Natura ludzka jest taka, że zawsze pobłaża sobie, a to stąd, iż pobłażanie jej, to egoizm.

Poświęcił grę dla Antonji i uważał, że się dostatecznie wywiązał z przysięgi zapominając, iż gotowy był zupełnie uchybić ważniejszej połowie tej przysięgi, że stał tam przygwożdżony na rogu bulwaru i ulicy Św. Marcina.

Ale, jak rzekłem, opór jego co do Wernera uczynił go pobłażliwym co do Arsenji. Postanowił więc wybrać drogę środkową i zamiast wejść napowrót do sali Opery, ku czemu parł go ze wszystkich sił czart kusiciel, umyślił czekać u drzwi wychodnej aktorskiej, by ją zobaczyć.

Zanadto znał Hoffman topografię teatrów, by drzwi tych wprędce nie znaleźć. Spozrzegł na ulicy Bondy długi korytarz zaledwie oświetlony, brudny i wilgotny, po

którym, niby cienie snuli się ludzie plugawo ubrani, i poznał, że temi to drzwiami wchodzili i wychodzili biedni śmiertelnicy, których czerwienidło, bielidło, gazy, jedwabie i szychy przemieniały na bogów i boginie.

Czas upływał, śnieg padał, ale Hoffman tak był wzburzony przez to dziwne zjawisko, mające coś nadprzyrodzonego, że nie uczywał tego wrażenia zimna, jakie zdawało się ścigać przechodzących. Daremnie para buchająca mu z ust zamieniała się na drobinki prawie stałe, ręce jego niemniej były rozpalone, a czoło wilgotne. Co większa, oparty o mur, stał tam nieruchomy, z oczyma zwróconemi na korytarz, tak, że śnieg spadający w coraz gęstszych płatach, zwolna okrywał młodzieńca, niby prześcieradłem, a z młodego studenta w małej czapeczce i surducie niemieckim, tworzył pomału posąg marmurowy.

Nareszcie przez to *vomitorium* zaczęli wychodzić pierwsi oswobodzeni ze sceny, to jest straż wieczorna, potem maszyniści, potem cała ta ludność bezimienna żyjąca z teatru, dalej artyści mężczyźni nie tak długo przebierający się jak kobiety, nareszcie kobiety, a między nimi i piękna tancerka, którą Hoffman poznał nie tylko po ślicznej twarzyczce, ale i po tym giętkim ruchu bioder należącym tylko do niej, oraz po tym aksamitnym naszyjniku otaczającym jej szyję, na którym iskrzył dziwny klejnot, który się stał modny przez teroryzm.

Zaledwie Arsenja ukazała się na progu drzwi, i nani Hoffman zdążył się poruszyć, szybko zajechała karetą, drzwiczki się otworzyły, dziewczyna wskoczyła tak lekko, jakby jeszcze bujała po teatrze. Za szybą ukazał się cień, — jak poznał zaraz Hoffman, — cień człowieka z przedscenia, który to cień przyjął młodą nimfę w swe objęcia; potem, choć żaden głos nie wskazał woźnicy dokąd ma jechać, karetą ruszyła cwałem.

Wszystko to, co tu mówimy, przemknęło jak błyskawica.

Hoffman wydał jakiś okrzyk na widok umykającego powozu, oderwał się od muru jak statua od niszy, i strząsając ruchem śnieg, jakim był okryty, puścił się za powozem.

Ale ten, porwany dwoma tęgimi końmi, udaremnił jego nierozmysłny pościg.

Dopóki jechał po bulwarze, wszystko szło dobrze; nawet

dopóki pędził ulicą Boubon - Villeneuve, przemianowaną na Neuve-Egalité, szło jeszcze dobrze; ale przybywszy na plac Zwycięstwa, skręcił na prawo i znikł z oczu Hoffmana.

Nie podtrzymywany ani łoskotem, ani wzrokiem, bieg młodzieńca osłabł; chwilę zatrzymał się na ulicy, oparł o mur dla nabrania oddechu, potem, nie widząc i nie słysząc już nic, pomiarkował, że czas wracać do domu.

Nie łatwym było Hoffmanowi zadaniem wydobyć się z tego labiryntu ulic, tworzących sieć prawie nie przebitą od kościoła Ś-go Eustachego do placu Żelaznego. Nareszcie dzięki licznym patrolom obchodzącym ulice, dzięki dobrze legalizowanemu paszportowi i dowodowi rogatkowemu, iż przybył dopiero wczoraj, otrzymał od misji obywatelskiej tak dokładne informacje, że dotarł do swego pokoiku, w którym zamknął się niby to sam, ale w istocie rzeczy z gorącym wspomnieniem wszystkiego co się stało.

Od tej chwili Hoffman stał się widoczną pastwą dwóch wizji, z których jedna zacierała się powoli, druga nabywała kształtów coraz wyraźniejszych.

Wizją zacierającą się była blada i rozczochrana postać pani Dubarry, ciągniona z Conciergérie na wózek, a z wózka na rusztowanie.

Wizją wyróżniającą była ożywiona i uśmiechliwa postać pięknej tancerki, skacząca z głębi sceny pod poręcz kinkietową, wirująca od poręczy do obu przedsceni.

Hoffman wysilał się, aby odegrać tę wizję. Wydobył z walizy skrzypce z puzdra i grał; zażądał pióra i atramentu, i pisał wiersze. Ale wiersze te były na pochwały Arsenji; melodia była tą, przy której ukazała mu się ona, i której skoczne tony unosiły ją w górę, tak, jakby same miały skrzydła; nareszcie szkice jakie tworzył, przedstawiały jej portret z tym samym aksamitnym naszyjnikiem, dziwną ozdobą umocowaną na szyi Arsenji i dziwniejszą jeszcze spinką.

Przez całą noc, przez cały dzień następny, przez całą noc i dzień trzeci z kolei, Hoffman widział rzecz jedną tylko, a raczej dwie: z jednej strony fantastyczną tancerkę, z drugiej niemniej fantastycznego doktora. Po między obojgiem była taka łączność, że Hoffman nie rozumiał jednej z tych istot bez drugiej. Nie orkiestra też

brzmiała w uszach jego podczas tej halucynacji wyobrazającej mu wciąż bujającą Arsenję, ale podśpiewywanie doktora, bębnienie jego palców po hebanowej tabakierce; potem, od czasu do czasu migał przed iskrami, — ten podwójny promień tryskający z tabakierki doktora i z nasyjnika tancerki. Odczuwał ten sympatyczny przepływ od tej djamentowej gilotyny do owej djamentowej trupiej główki; odczuwał siłę oczu lekarza, które zdawały się według woli przyciągać i odpychać uroczą tancerkę, jak oko węża przyciąga i odpycha ptaka, którego obezwładnia.

Dwadzieścia, sto, tysiąc razy Hoffman zabierał się pójść raz jeszcze do Opery; ale dopóki godzina nie nadeszła, przyrzekł sobie nie ulegać pokusie. Pokusę tę wreszcie tłumił wszelkimi sposobami, uciekając się zrazu do medaljonu Antonji, a potem próbując pisać do niej. Ale portret Antonji zdawał się przybierać oblicze tak smutne, że Hoffman zamykał go prawie natychmiast po otworeniu; a pierwsze wiersze każdego zaczynanego listu były tak kłopotliwe, że z dziesięć ich zdań, nim doszedł do trzeciej części pierwszej stronicy.

Nareszcie upłynął ten dzień trzeci; zbliżyło się otwarcie teatru, uderzyła godzina siódma, i na tę ostatnią odezwę, Hoffman pochnięty jakby mimowolnie, pędem zbiegł z schodów i rzucił się w kierunku ulicy Ś-go Marcina.

Na ten raz, nie pytając nikogo o drogę, jakby ją niewidzialny mu wskazywał przewodnik, mniej niż w kwadrans przybył do drzwi Opery.

Ale, rzecz dziwna, drzwi te odmiennie niż przed dwoma dniami, nie były obleżone przez widzów, czy to, że zaszedł nieznanym Hoffmanowi wypadek, który mniej przyciągającym uczynił dla widzów widowisko, czy, że widzowie byli już we wnętrzu teatru.

Hoffman rzucił swoje sześć franków kasjerce, otrzymał bilet i wszedł do sali.

Lecz widok jej był zgoła odmienny. Najprzód, zajęta była zaledwie w połowie; dalej, na miejscu tych kobiet uroczych, tych mężczyzn eleganckich, jak przedtem, widział tylko kobiety w kaftanach, a mężczyźni w karmazjoliach; żadnych klejnotów, kwiatów, obnażonych łon, któreby się wznosiły i opadały w rozkosznej atmosferze teatrów arystokratycznych. Czapki tylko okrągłe i czapki czerwone, ozdabiane narodowymi kokardami; ciemne bar-

wy odzieży, mgła smutna na twarzach; a przytem wszystkim, po obu stronach sali dwa biusty ohydne, dwa oblicza wykrzywione, jedno śmiechem, drugie boleścią — słowem, biusty Woltera i Marata.

Nareszcie, w przedsceniu otwór zaledwie oświetlony, nawa ponura i pusta. Jaskinia została, ale nie było lwa.

Były dwa miejsca próżne w orkiestrze, jedno obok drugiego; Hoffman usiadł na tem samem co poprzednio. Na drugim siedział poprzednio doktor, ale teraz było puste.

Podczas pierwszego aktu Hoffman nie uważał wcale, ani na orkiestrę, ani na aktorów. Znał tę orkiestrę już i ocenił na pierwszym przedstawieniu. Aktorzy obchodzili go mało, nie dla nich tu przyszedł, lecz dla Arsenji.

Zasłona otwarła się na akt drugi i rozpoczął się balet.

Cała umysłowość, cała dusza, całe serce młodzieńca pozostały w zawieszeniu. Czekał na wyjście Arsenji.

Naraz Hoffman krzyknął. Już nie Arsenja wykonywała rolę Flory. Była to kobieta obca, kobieta jak inne!

Wszystkie żyły tego wzburzonego ciała wyciągnęły się; Hoffman opadł wtył krzesła, wydając długie westchnienie i spojrział dokoła siebie.

Czarny człowieczek siedział na swem miejscu poprzelaniem; tylko nie miał już brylantowych sprzączek, brylantowych pierścieni, brylantowej tabakierki z trupa główką.

Jego sprzączki były miedziane, pierścienie z fałszywego srebra, tabakierka ze srebra matowego. Nie podśpiewywał dziś, nie wybijał taktu.

Jak on tu się zjawił? Hoffman nie wiedział nic, nie widział go ani wchodzącego ani przechodzącego.

— Oh! panie! — zawołał Hoffman.

— Proszę mówić: obywatelu, mój młodzieńcze, a nawet, mów mi poprostu — ty... jeżeli można — odparł czarny człowieczek — inaczej, można narazić głowę i swą i moją.

— Ale gdzie ona jest? — zapytał Hoffman.

— Ha! otóż to... Gdzie ona jest? Widać, jej tygrys, nie spuszczaający z niej oczu, dostrzegł że onegdaj korespondowała z pewnym młodzieńcem z orkiestry. Widać, że młodzieniec ten biegł za kareta; tak, że od wczoraj zerwał umowę Arsenji i Arsenja nie jest już w teatrze.

— A jakżeż dyrektor mógł pozwolić?...

— Mój młody przyjacielu, dyrektorowi chodzi o utrzy-

manie głowy na karku, choć ta głowa wcale nieszczególna; ale on utrzymuje, że się z nią już oswoił, a inna może się nie przyczepiła.

— Ah! i to dlatego sala wygląda tak smutno! — zawołał Hoffman. — Dlatego to niema już ani kwiatów ani pierścieni i brylantowej tabakierki! Dlatego to po obu stronach sali niema biustów Apolina i Terpsychory, ale te dwa przebrzydłe popiersia. Phh!

— Lecz cóż mi to mówicie, obywatelu? — odezwał się doktor — gdzieżeście to widzieli taką salę jak opisujecie? Kiedyście widzieli u mnie brylantowe pierścienie, brylantowe tabakierki? gdzieście nareszcie widzieli popiersia Apolina i Terpsychory? Ależ już dwa lata temu jak kwiaty nie kwitną, jak brylanty na ołtarzu ojczyzny. A co do mnie, nie miałem nigdy innych, tylko te miedziane, innych pierścieni, tylko ten lichej pozłacany, innej tabakierki tylko tę srebrną. — Co do popiersi Apolina i Terpsychory, stały one tu dawniej, ale przyjaciele ludzkości wpadli, stłukli popiersie Apollina i zastąpili je popiersiem apostoła Woltera, przyjaciele ludu wpadli, stłukli popiersie Terpsychory i na jego miejsce postawili boga Marata.

— O! — zawołał Hoffman — to niepodobna. Mówię panu, że onegdaj widziałem salę woniejącą, błyszczącą świetnymi strojami, iskrzącą się od brylantów, wytwornych męzczyzn, na miejsce tych śledziarek w kaftanach i tych capów w karmaniolach. Mówię, że pan miałeś brylantowe sprzączki u trzewików, brylantowe pierścienie na palcach, brylantową trupa główkę na tabakierce; mówię że...

— A ja ci zkolei mówię, młodzieńcze — rzekł czarny człowieczek — że onegdaj ona była tu; mówię ci, że obecność jej iluzjowała wszystko, mówię ci, że pod jej oddechem wyrastały róże, błyszczały djamenty twojej wyobraźni; mówię ci, młodzieńcze, że ją kochasz szalenie i że widziałeś salę poprzez miłości swój pryzmat. Arseni! dziś tu niema, serce twe zamarło, oczy odczarowały, i widzisz barchan, perkal, grube sukno, czerwone czapki, brudne ręce i nieczyste włosy. Widzisz, słowem, świat takim jaki jest, rzeczy takie, jakie są.

— Oh, mój Boże — wybuchnął Hoffman z głową opuszczoną na ręce — prawdaż jest to wszystko, a ja takżem obłąkania bliski.

ROZDZIAŁ XI

PIWIARNIA

Ze swego letargu Hoffman wyszedł wtedy dopiero, gdy uczuł rękę położoną na swem ramieniu.

Podniósł głowę. Wszystko było czarne i pogasłe dokoła niego; teatr bez światła wydał mu się jak trup, który widział żyjącym. Szyldwach przechadzał się tylko samotny i milczący jak strażnik śmierci; znikły świeczniki, orkiestra, promienie i hałas.

Jeden tylko głos mruczał mu do ucha:

— Obywatelu, obywatelu, co wy robicie? Jesteście w Operze, obywatelu; sypiają tu wprawdzie ludzie, ale nie nocują.

Hoffman spojrział w stronę, skąd pochodził głos i spostrzegł małą staruszkę, która ciągnęła go za kołnierz oś surduta.

Była to klucznica orkiestry, która, nie wiedząc, co to za jeden ten widz opery, nie chciała odejść, aż się go pozbędzie.

Nareszcie zbudzony ze snu, nie opierał się Hoffman, westchnął tylko i wstał, szepcząc imię:

— Arsenja!

— Ah, tak! Arsenja — rzekła staruszka. — Arsenja! wam ona także wpadła w serce, jak innym. Wielka to strata dla Opery, zwłaszcza dla nas klucznic.

— Dla klucznic? — zapytał Hoffman, uszczęśliwiony, że się przyczepił do kogoś, z kim może mówić o tancerce — a cóż to za strata dla was stąd, że Arsenja jest, lub nie jest w teatrze?

— Eh! łatwo to zrozumieć. Naprzód, kiedy ona tańczyła, zawsze bywało pełno, jak nabił, a wtedy publiczność

rozbierała krzesła, taburety, ławeczki; w operze wszystko się płaci; toż i nam wpadał grosik za dodatkowe sielzenia. Powiadam grosik — dodała stara ze znaczącym uśmiechem — ale widzicie, obywatelu, czasami — rozumiecie — to i gruby grosz się dostał.

— Gruby grosz?

— A tak.

I stara pociągnęła wzrokiem.

— A jakież to ten gruby grosz powiedzcie-no mi, obywatelko.

— Gruby grosz pochodził od tych, co chcieli o niej czegoś się dowiedzieć, gdzie mieszka, i co jej przysyłali bileciki. Była cena na wszystko; rozumiecie; tyle za wiadomość, tyle za adres, tyle za bilet; handelek szedł, i żyło się uczciwie.

I stara wydała westchnienie, które, bez obrazy, ujęć mogło za westchnienie Hoffmana przy początku rozmowy, jakąśmy przytoczyli.

— A! więc ty, obywatelko, trudniłaś się udzielaniem wiadomości, adresów i doręczaniem biletów, a teraz czy będziesz się tym trudnić?

— Niestety! panie, wam teraz nie byłyby przydatne wiadomości, jakichbym udzielić mogła. Nikt już nie wie adresu Arsenji, i bilet, jakibyście mi dali, byłby stracony. Jeżeli życycie sobie względem innej, naprzykład pani Vestris, panny Bigottini, panny...

— Dziękuję, dobra kobieto, dziękuję; ja chciałem tylko dowiedzieć się o pannie Arsenji.

Potem dobywając z kieszeni talarka:

— Oto macie — rzekł Hoffman — za to, żeście mnie obudzili.

I pożegnawszy starą, szedł wolno po bulwarze, z zamiarem udania się tą samą drogą, jaką przebywał onegdaj. Droga była ta sama, ale wrażenie inne, i chód też jego odczuwał różnicę tych wrażeń.

Owego wieczora szedł jako człowiek, który widział przechodzącą Nadzieję i biegnie za nią, niepomny, że ona dlatego opatrzoną jest w długie skrzydła lazurowe, by ludzie nigdy jej nie doścignęli. Szedł żywo z ustami dyszącymi i otwartymi, z czołem wyniosłym, z wyciągniętymi rękami; teraz przeciwnie, szedł wolno, jak człowiek, który daremnie ścigając Nadzieję, stracił ją z oczu; usta jego

były zwarte, czoło opuszczone, ręce obwisłe. Wówczas zużył pięć minut, by dostać się do bramy Ś. Marcina na ulicę Montmartre; dzisiaj szedł tam z godzinę i jeszcze za godzinę z tej ulicy nie dostałby się do swego hotelu, gdyż w tem zgorzknieniu, w jakie zapadł, mało mu na tem zależało by przybyć prędzej lub później, albo i nie wrócić wcale.

Powiadają, że jest Opatrzność nad pijakami i zakochanymi; Opatrzność ta snadź czuwała nad Hoffmanem. Uniknął patroli, trafiał dobrze na place zbrzeżne, potem na mosty, trafił nareszcie do hotelu, dokąd ku wielkiemu zgorszeniu gospodyni przybył o wpół do drugiej w nocy.

Jednakże wpośród tego wszystkiego mały promyczek złocisty tańczył w głębi wyobraźni Hoffmana, jak błękitny ognik w nocy. Lekarz — jeżeli tylko istniał, nie był prostym wytworem jego wyobraźni, halucynacją — lekarz ten powiedział mu, że Arsenję wyrwał z teatru kochanek jej, tknięty zazdrością o młodzieńca z orkiestry, z którym Arsenja zamieniła kilka czułych spojrzeń.

Lekarz ten dodał nadto, że do szczytu zazdrości tyrana, doprowadziło to, iż młodzieniec ten zaczął się naprzeciw korytarza od wychodni artystów, a potem jak warjat biegł za kareta i otóż młodzieńcem tym, nie był kto inny, tylko on. Arsenja więc zwróciła na niego uwagę, skoro poniosła karę za swą dystrakcję i cierpi za niego. On wszedł do życia pięknej tancerki przez wrota boleści, ale wszedł, to rzecz główna, jego rzeczą tam się utrzymać. Ale jakim sposobem? Jaką drogą korespondencji z Arsenją, dać jej o sobie znać, powiedzieć, że ją kocham? Odnaleźć tę piękną Arsenję utopioną w ogromnem mieście, było zadaniem niemałym dla paryżanina czystej krwi, było niepodobnem dla Hoffmana, który przybył przed trzema dniami i sam jeszcze nie mógł się rozpoznać w mieście.

Nie myślał więc nawet szukać; rozumiał, że tylko przypadek może mu przyjść w pomoc. Co dwa dni zaglądał do afisza Opery, i co dwa dni z żalem dowiadywał się, że Parys wydaje swój sąd w nieobecności tej, która więcej jeszcze, niż Afrodyta zasługiwała na jabłko.

Odtąd już nie myślał wracać do Opery.

Przyszło mu wprawdzie raz na myśl iść na posiedzenie czy to Zgromadzenia narodowego, czy klubu Cordelierów, przyczepić się do kroków Dantona, a szpiegując go dzień

i noc, dojsć, gdzie ukrył piękną tancerkę. Poszedł; ale ani tu, ani tam, nie było już Dantona; nie bywał tam od tygodnia. Znużony walką prawdziwą od dwóch lat, zwyciężony przykrościami raczej, niż wyższością, Danton zławał się wycofywać z areny politycznej.

Mówiono, że bawi w swym domu wiejskim, ale gdzie jest ten dom, nie wiedział nikt i jedni mówili w Reuil, drudzy w Auteuil.

Danton był więc również nie do znalezienia jak Arsenja.

Myślałby kto, że ta nieobecność Arsenji zwróci Hoffmana ku Antonji; rzecz dziwna! ale tak nie było. Darcannie czynił wszelkie usiłowania by sprowadzić umysł swój ku biednej córce dyrektora opery Manchejskiej. Raz tylko, potęgą woli, dokonał tego, że wszystkie jego wspomnienia ześrodkowały się w gabinecie mistrza Bogumiła Murra; ale po chwili partytury zgromadzone na stołach i fortepianie, mistrz Bogumił przed pulpitem, Antonja wsparta na kanapie, wszystko to znikło, ustępując miejsca wielkiemu obrazowi, w którym poruszały się najprzód cienie, potem cienie te nabierały ciała, potem ciała te przybierały kształty mitologiczne, ci bohaterowie, nimfy, bogowie, półbogi, znikają ustępując miejsca jedynej bogini, bogini ogrodów, pięknej Florze, czyli cudownej Arsenji, kobiecie o aksamitnym naszyjniku z brylantową spinaką. Wtedy to Hoffman zapadał już nie w marzenie, lecz w ekstazę, z której nie wychodził dopóty, aż się rzucił w życie realne, ocierając się o przechodzących na ulicy, mieszając się w tłumie i zgiewku.

Kiedy halucynacja była zbyt silna, wychodził, spuszczał się placem na most i nie zatrzymywał się zwykle, aż na rogu Menniczej. Tam znalazł piwiarnię, schadzkę największych palaczków stolicy. Tam też Hoffman nie mógł mniemać, iż się znajduje w tawernie angielskiej, w jakimś musico holenderskiem, lub restauracji niemieckiej, tak ślalece dym z fajki czynił tam atmosferę niepodobną do oddychania dla każdego, kto nie był pierwszej klasy palaczem.

Wszedłszy do tej piwiarni, zwanej piwiarnią Bractwa, zwykle zasiadał Hoffman przy małym stoliku umieszczonym w najgłębszym zakątku, kazał sobie stawiać butelkę piwa z browaru pana Santerre, który tylko co na

rzecz pana Heriot zrzekł się stopnia generała gwardji narodowej paryskiej, — nabijał tę ogromną fajkę, którą już znamy, i w kilka chwil otaczał się obłokiem tak gęstym jak ten, którym piękna Venus otaczała syna swego Eneasza, ilekroć ta czuła matka uważała za konieczne uktyć swego gagatka przed gniewem wrogów.

Upłynęło z dziesięć dni od przygody Hoffmana w teatrze, a więc od zniknięcia pięknej tancerki; była godzina pierwsza popołudniu; Hoffman prawie od pół godziny siedział w swej garkuchni, ze wszystkich sił płuc zajmując się tworzeniem około siebie tego dymnego kręgu, który go oddzielał od sąsiadów, kiedy poza obłokiem zdawało mu się, że spostrzega postać ludzką; następnie, ponad gwarem jedzących, pijących i rozmawiających, usłyszał podwójny szelest podśpiewywania i bębnienia, właściwy czarnemu człowieczkowi; dalej, pośród tej mgły, zdawało mu się, że jakiś punkt świetlany rozrzuca iskierki. Otworzył oczy, napół zamknięte błogą sennością, z trudnością rozciągnął powieki, i naprzeciwko siebie, siedzącego na taburecie, poznał sąsiada z Opery, a to tem wyraźniej, że fantastyczny doktor miał, a przynajmniej zdawał się mieć, brylantowe sprzączki u trzewików, brylantowe pierścionki na palcach i trupa główkę na tabakierce.

— Dobrze — powiedział sobie Hoffman — otóż znowu chywyta mnie obłąd.

I spiesznie zamknął oczy.

Ale im szczelniej je zamykał, tem lepiej słyszał i podśpiew i bębnienie palcami, a wszystko to z taką dokładnością, iż zrozumiał, że wszystko to ma pewną podstawę rzeczywistą, a różnica zachodzi tylko co do mniej, lub więcej.

Otworzył więc jedno okno, potem drugie; czarny człowieczek wciąż siedział na miejscu.

— Dzień dobry, młodzieńcze — rzekł do Hoffmana — zdaje mi się, że śpisz; zażyj tabaki to cię rozbudzi.

I otworzywszy tabakierkę, podał do zażycia młodzieńcowi.

Ten machinalnie wyciągnął rękę, wziął szczyptę i zażył.

W tej samej chwili uczuł, że oświecają mu się ściany umysłu.

— A! — zawołał Hoffman — to wy, kochany doktorze? jakże miło mi widzieć się z wami!

— Jeżeli miło, czemużes mnie nie szukał?

— Alboż wiedziałem wasz adres?

— Wielki interes; danoby ci go na pierwszym lepszym cmentarzu.

— Wiedziałem wasze nazwisko?

— Doktor z trupią główką, pod tem imieniem znają mnie wszyscy. Przytem, jest jedno miejsce gdzie mogiesz mnie zawsze napewno zastać!

— Gdzież to?

— W teatrze Opery. Jestem lekarzem Opery. Wiesz o tem dobrze, skoroś mnie tam widział dwa razy.

— Oh! Opera! — rzekł Hoffman potrząsając głową i wydając westchnienie.

— Tak, już tam nie wracasz?

— Nie, już nie wracam.

— Odkąd nie Arsenja wykonywa partję Flory?

— Istotnie, a dopóki nie ona, nie wrócę.

— Kochasz ją, młodzieńcze, kochasz?

— Nie wiem, czy choroba, której doświadczam, nazywa się kochaniem, ale to wiem, że jeśli jej nie zobaczę, umrę skutkiem jej nieobecności, lub dostanę obłądu.

— O! nie trzeba dostawać obłądu! o! nie trzeba umierać! Na obłąd mało jest leków, na śmierć żadnego.

— Cóż więc robić?

— Trzeba ją zobaczyć.

— Jakto, zobaczyć?

— Niewątpliwie.

— Czy macie na to jaki sposób?

— Być może.

— Jakież?

— Zaczekaj.

I doktor zaczął marzyć mrugając oczyma i bębniąc po tabakierce.

Po chwili otwierając szeroko oczy i pozostawiając uszy zwieszane nad hebanem:

— Mówiłeś mi, że jesteś malarzem? — rzekł.

— Tak malarzem, muzykiem, poetą.

— Na ten raz potrzebujemy tylko malarstwa.

— A zatem?

— Arsenja zleciła mi wyszukać malarza.

— W jakim celu?

— W jakimże celu szukają malarza? Oczywiście, ażeby zrobić jej portret.

— Portret Arsenji? — zawołał Hoffman wstając. — Jestem gotów! jestem, natychmiast!

— Ciszej! nie zapominaj, że ja człowiek poważny.

— Jesteś pan moim zbawcą! — zawołał Hoffman zrzucając ręce na szyję czarnego człowieczka.

— Młodości, młodości! — rzekł tenże zcicha, dodając do tych słów taki śmiech, jakby wydała jego trupia główka, gdyby była wielkości naturalnej.

— Chodźmy! chodźmy! — powtarzał Hoffman.

— Ależ potrzebujesz pudełka z farbami, pędzli, płótna.

— Mam to wszystko u siebie, chodźmy.

— Ano, to chodźmy! — rzekł doktor.

I obaj wyszli z piwiarni.

ROZDZIAŁ XII

PORTRET

Wyszedłszy na ulicę, Hoffman uczynił ruch dla zawołania dorożki; ale doktor klasnął w swe suche ręce, a na ten odgłos podobny do szczęku szkieletu, przybiegła kareta okryta czarno, zaprzężona w dwa konie czarne i z woźnicą ubranym na czarno. Gdzie stała? Skąd się wzięła? Równie to trudnoby było Hoffmanowi powiedzieć, jak kopciuszkowi skąd przybywał wóz, w którym dziewczyna udawała się na bal księcia Mirliflora.

Mały groom nietylko ubrany na czarno, ale w skórze czarnej, otworzył drzwiczki. Weszli, Hoffman i doktor, usiedli obok siebie, i zaraz ruszyła kareta bez szelestu żadnego ku hotelowi Hoffmana.

Stanąwszy przed bramą, Hoffman wahał się, czy ma wejść do siebie. Zdawało mu się, że jak tylko wyjdzie, to kareta, konie, doktor i jego dwaj słudzy, znikną tak, jak się pokazali. Ale pocóżby doktor, kareta i konie trudzili się dla zawiezienia Hoffmana z ulicy Menniczej na plac Kwiatowy. Trud ten nie miałby w takim razie celu.

Uspokojony więc prostem poczuciem logiki, Hoffman wysiadł, wszedł do hotelu, żywo pomknął po schodach, wpadł do pokoju, zabrał paletę, pędzle, pudełko z farbami, wybrał największe z płócien i wybiegł tym samym krokiem napowrót.

Kareta wciąż stała przy bramie.

Pędzle, paletę i pudełko z farbami włożono w środek karety, groom miał trzymać płótno.

Potem kareta popędziła równie cicho i żywo jak przedtem.

Po dziesięciu minutach zatrzymała się naprzeciw ślicznego pałacyku przy ulicy Hanowerskiej Nr. 15.

Hoffman zauważył ulicę i numer, ażeby w danym razie mógł wrócić i sam, bez doktora.

Drzwi się otworzyły; doktor był zapewne znajomym, gdyż odzwierny nie pytał go nawet, dokąd idzie, Hoffman poszedł za nim ze swemi przyboremami.

Weszli na pierwsze piętro, do apartamentu, którego przedpokój śmieło mógł ująć za vestibulum domu poety w Pompei.

Przypominamy sobie, że w tej epoce moda była grecka; przedpokój Arsenji malowany al fresco, ozdobiony był kandelabrami i statuami bronzowemi.

Z przedpokoju doktor i Hoffman weszli do salonu. Salon, równie jak przedpokój, był grecki, wybity sukneną sedańskiem, po 70 franków za łokieć; sam kobierzec kosztował sześć tysięcy franków; doktor zwrócił na ten kobierzec uwagę Hoffmana. Przedstawiał on bitwę pod Arbellą kopiowaną ze słynnej mozaiki pompejańskiej.

Olśniony tym zbytkiem niesłychanym, Hoffman nie rozumiał, jak można wyrabiać takie kobierce do chodzenia po nich.

Z salonu poszli do buduaru; buduar obciągnięty był kaszmirem. W głębi, we framudze czworokątnej, stało niskie łóżko stanowiące kanapę. Tam to według rozkazu Arsenji, mieli czekać.

— A teraz, młodzieńcze — rzekł doktor — jesteś zainstalowany; do ciebie należy postępować oględnie. Nie potrzebuję dodawać, że gdyby cię tu zastał kochanek urzędowy, byłoby po tobie.

— Oh! — zawołał Hoffman — niech ją zobaczę, niech ją tylko zobaczę, a...

Słowo zagasło na ustach Hoffmana; stanął z oczyma wlepionemi, rozwartemi rękami, piersią dyszącą.

Otworzyły się drzwi ukryte w odrzewieniu a przy obiacającym się zwierciadle ukazała się Arsenja, istne bożyszczcze świątyni, w której raczyła się ukazać swojemu czcicielowi.

Był to kostjum Aspazji w całym zbytku starożytnym, z perłami we włosach, z płaszczem purpurowym wyszywanym złotem, w białej sukni powłóczystej, spiętej prostym pasem perłowym z pierścionkami na palcach u rąk

i nóg; a pośród tego wszystkiego owa dziwna ozdoba nieodłączona od jej osoby, ów naszyjnik aksamitny, szeroki ledwie na cztery linje, a podtrzymywany ową złowrogą spinką brylantową.

— A! to wy, obywatelu, podejmujecie się zrobić mój portret? — rzekła Arsenja.

— Ja, — wykrztusił Hoffman — ja, pani! a doktor był tak dobry, że zaręczył za mnie.

Hoffman szukał koło siebie jakby poparcia w dokto:ze, ale ten znikł.

— Cóż to! — zawołał zmieszany — cóż to!

— Czy szukasz, czego potrzebujesz, obywatelu?

— Pani, ja szukam... szukam doktora, słowem tego, który mnie tu przyprowadził.

— A na cóż wam ten przewodnik, skoro już tu jesteście.

— Jednak doktor, doktor, gdzie on się podział? — odezwał się Hoffman.

— Ah! dajcież pokój, obywatelu — odparła Arsenja niecierpliwie — poco tracić czas na szukanie go? Doktor ma swoje sprawy, wy swoje.

— Jestem na pani rozkazy — rzekł Hoffman cały drżący.

— Zgadzącie się więc zrobić mój portret?

— Uważam się za najszcześniejszego człowieka, zem dostąpił tej łaski; mam tylko jedną obawę.

— Nie bawcie się w skromność. Nie uda się wam, wezmę innego. Uważałam, iż patrzyliście na mnie jak ktoś, co chce zatrzymać rysy moje w pamięci i dlatego naj-samprzód wybrałam was.

— Dziękuję, stokroć dziękuję! — zawołał Hoffman, oczami pożerając Arsenję. — O! tak, tak, zachowałem rysy pani w pamięci, o tak!

I położył rękę na sercu.

Naraz zachwiał się i zbladł.

— Co wam jest? — zapytała Arsenja z miną wcale nie pobożną.

— Nic — odparł — nic, zaczynajmy.

I kładąc rękę na sercu, poczuł między piersią i koszulą medaljon Antonji.

— Zaczynajmy! — powtórzyła za nim Arsenja. — Ła-two to powiedzieć. Najprzód, nie w tym to stroju chce on ażebym się kazała malować.

Ten wyraz on, przeszedł przez serce Hoffmana jakby jedna z tych złotych szpilek przytrzymujących włosy nowoczesnej Aspazji.

— A jakże chce on mieć ten portret? — zapytał Hoffman z widoczną goryczą.

— W postaci Erygony.

— Cudownie! Strój głowy w bluszczu doskonale się nada.

— Tak mniemacie? — rzekła Arsenja, przybierając minki. Ale mam nadzieję, że i skóra pantery nie oszpeca mnie wcale.

Zadzwoń!; weszła pokojówka.

— Eucharys — powiedziała Arsenja — przynieś ty, s, bluszcz i skórę tygrysią.

Potem, wyjąwszy dwie lub trzy szpilki podtrzymujące jej włosy i potrząsając głową, Arsenja otoczyła się potokiem czarnych włosów, który jak kaskada, stoczył się na jej biodra, a gęsty i falisty spłynął aż na kobierzec.

Hoffman wydał okrzyk podziwu.

— A to co? — zapytała Arsenja.

— To, — wykrzyknął Hoffman — że ja podobnych włosów nigdy nie widziałem.

— On też chce, ażebym je wyzyskała i dlatego to my wybrałiśmy strój Erygony, pozwalający mi włosy rozpuścić.

Teraz wyrazi on i my, nie jednym, lecz dwoma ciosami uderzyły w serce Hoffmana.

Przez ten czas panna Eucharis przyniosła winne grona, tyrs i skórę tygrysią.

— Czy to już wszystko, czego potrzebujemy? — zapytała Arsenja.

— Wszystko, tak, zdaje mi się, że wszystko — bąknął Hoffman.

— To dobrze; zostaw nas samych, Eucharis, i nie wracaj, aż zadzwonię.

Pokojówka wyszła i drzwi za sobą zamknęła.

— A teraz, obywatelu — rzekła Arsenja — dopomóżcie mi nieco urządzić włosy; to wasza rzecz. Dla upiększenia siebie dużo polegam na fantazji umalarza.

— I masz pani słuszność! — zawołał Hoffman — Jakże będziesz piękna!

I wzięwszy gałązkę winną, okręcił ją około głowy Ar-

senji z tą sztuką malarza, która każdej rzeczy nadaje wartość i odbłask, potem, zrazu cały drżący, końcami pałców ujął jej długie włosy woniejące, heban ich wprowadzając w grę z ziarnkami topazu, szmaragdowemi i rubinowemi: liśćmi jesiennego wina. Jako tedy przyrzekł, pod ręką jego, ręką poety malarza i kochanka, tancerka tak się upiękniła, iż przeglądając się w zwierciadle, wydała okrzyk radości i dumy.

— O! macie słuszność — rzekła Arsenja — tak, jestem piękna, bardzo piękna. Teraz, idźmy dalej.

— Jakto dalej, w czym? — zapytał Hoffman.

— A no, co do stroju bachantki.

Hoffman zaczynał rozumieć.

— O! Boże mój! — szepnął — Boże!

Arsenja uśmiechając się, ściągnęła płaszcz purpurowy, który zatrzymał się tylko na jednej szpilce, której nie mogła dosięgnąć ręką.

— Pomóżcie mi — odezwała się niecierpliwie — czyż znowu mam wołać Eucharys?

— Ano — rzekł młodzieniec oddychając.

— Ale — odezwała się Arsenja — sądzicie, że dobrze będzie tej tygrysięj skórze na owej długiej sukni muślinowej? ja myślę, że nie. On wreszcie chce bachantki prawdziwej; nie takiej jakiej widują w teatrze, ale takiej, jakie na obrazach swych przedstawiają Carraccio i Albano.

— Ależ na tych obrazach bachantki są nagie! — zawołał Hoffman.

— On też chce i mnie mieć taką, a skórą tygrysią udrapujcie mnie jak się podoba, to wasza rzecz.

Żądanie wyrażonem było tonem tak spokojnym i zimnym, że Hoffman rzucił się w tył, obiema rękami przyiskajając czoło.

— Dobrze, dobrze — wykrztusił — przebacz mi, pani, ja szaleję.

— W istocie, — rzekła.

— Powiedz mi pani prawdę! — zawołał Hoffman — dlaczegoś mnie wezwała? powiedz, powiedz!

— Dlatego, żebyście zrobili mój portret, nic więcej.

— Tak, to prawda — odrzekł — masz pani słuszność; poto tylko, ażebym zrobił portret, nic więcej.

I gwałt zadając sobie, Hoffman założył płótno na stal-

gę, wziął paletę i począł szkicować upajający obraz, jak miał przed oczyma.

Lecz artysta zawiele liczył na swe siły. Widząc rozkoszny model pozujący, nie tylko w swej płomiennej rzeczywistości, ale jeszcze odbity tysiącem luster buduaru; zamiast jednej Erygony, znalazłszy się w pośrodku dziesięciu bachantek, spostrzegając nareszcie każde zwierciadło powtarzające ten upajający uśmiech, falowanie tej piersi, którą pazury pantery okrywały tylko w połowie — uczuł, że żądają od niego czegoś ponad siły ludzkie. Rzucił więc paletę i pędzel, poskoczył ku pięknej bachantce i wycisnął na jej ramieniu pocałunek, w którym było tyle szału, ile miłości.

Lecz w tejże samej chwili drzwi się otworzyły i nimfa Eucharys wpadła do buduaru krzycząc:

— On! on! on!

To mówiąc, rozwiązała wstęgę podtrzymującą w kibici suknię Arsenji, odjęła spinkę od szyi, tak, iż szata spuszczała się z jej pięknego ciała, pozostawiając je nagiem w miarę spadania z ramion ku nogom.

— Oh! — zawołał Hoffman padając na kolana — to nie jest śmiertelna, to bogini!

Arsenja nogą odtrąciła płaszcz i suknie. Potem biorąc skórę tygrysią:

— Dalejże — odezwała się — cóż robimy z tem wszystkim? Pomóż-że mi, obywatelu artysto, nie mam zwyczaj ubierać się sama.

Naiwna tancerka nazywała to ubieraniem.

Hoffman podszedł chwiejający się, pijany, olśniony, wziął skórę tygrysią, zapiął złociste jej pazury na ramieniu bachantki, posadził ją, a raczej położył na kaszmirowem łożu, gdzie ujęsby była mogła za statwę z marmuru paryjskiego, gdyby oddech nie podnosił jej łona, gdyby uśmiech nie otwierał jej ust.

— O, tak! Piękna, piękna, piękna — szeptał Hoffman.

I zakochany biorąc górę nad artystą, padł na kolana, ruchem szybkim jak myśl ujął rękę Arsenji i okrył pocałunkami.

Arsenja cofnęła rękę z zdziwieniem raczej, niż z gniewem.

— Cóż to robisz, obywatelu? — zapytała młodzieńca.

W tej-że samej chwili, nim zdążył przyjść do siebie,

Hoffman, pchnięty przez obie kobiety, znalazł się za buduarzem, którego drzwi zamknęły się za nim. I na ten raz, istotnie szalony miłością, zazdrością i gniewem, chwając się, przeszedł przez salon, zsunął się po poręczu raczej, niż zszedł po schodach i sam nie wiedząc kiedy, znalazł się na ulicy, pozostawiwszy w buduarze Arsenji pędzle, pudełko z farbami i paletę, co nie znaczyło nic, ale zarazem i kapelusz, co mogło znaczyć wiele.

ROZDZIAŁ XIII

KUSICIEL

Co jako do boleści dodając upokorzenie, czyniło stan Hoffmana jeszcze okropniejszym, to, że oczywiście nie był wezwany przez Arsenję, jako człowiek, na którego zwróciła uwagę w teatrze, ale poprostu jako malarz, jako machina do portretowania, jako zwierciadło odbijające przedstawione mu przedmioty. Stąd ta niedbałość Arsenji: w spuszczeniu jednego po drugim swych ubrań wobec niego; stąd to zdziwienie, gdy całował jej rękę; stąd ten gniew, gdy śród pocałunków powiedział, że ją kocha.

Jakoż, nie było to szaleństwem ze strony prostego studenta niemieckiego, który przybył do Paryża z trzystu lub czterystu talarami, sumą niedostateczną do opłacenia kobierca z jej przedpokoju, wzdychać do modnej tancerki, do dziewczyny utrzymywanej przez marnotrawnego i lubieżnego Dantona? Kobiety tej nie wzruszał dźwięk jego słów, ale wzruszał ją dźwięk złota; kochankiem jej nie był ten co więcej kochał, lecz ten co najwięcej płacił. Gdyby Hoffman miał więcej pieniędzy, niż Danton, to Dantona wyrzociliby za drzwi przy nadejściu Hoffmana.

Tymczasem, rzeczą najwidoczniejszą było to, że Hoffmana wyrzono za drzwi dla Dantona.

Hoffman udał się drogą do swego pokoiku, pokorniejszy i smutniejszy, niż zwykle.

Dopóki nie znalazł się wobec Arsenji, miał nadzieję; ale to, co widział, to lekceważenie go jako człowieka, ten zbytek, w jakim zobaczył piękną tancerkę — wszystko to bez zdobycia się na jakąś sumę szaloną, niesłychaną, czyli bez cudu, uniemożliwiało młodzieńcowi nawet nadzieję posiadania.

Wrócił też zgnębiony. Szczególne uczucie, jakiego doznawał dla Arsenji, czysto zmysłowe, w którym serce nie miało udziału żadnego, uczucie to objawiało się dotąd pożądliwością, drażnieniem, gorączką.

W tej chwili wszystkie te objawy zamieniły się na głębokie zgnębienie.

Jedyną, jaka pozostawała Hoffmanowi nadzieją było odszukanie czarnego doktora, dla zapytania go, co ma uczynić, lubo w tym człowieku było coś dziwnego, fantastycznego, nadludzkiego, co wprowadzało go w mniemanie, że jak się tylko doń zbliży, zaraz wychodzi z rzeczywistości życia, a wchodzi w rodzaj snu, gdzie mu nie towarzyszy ani wola, ani wolność, i gdzie staje się igraszką świata, który istnieje dla niego, nie istnieje dla innych.

W zwykłej też godzinie powrócił nazajutrz do garkuchni przy ulicy Menniczej; ale próżno otaczał się obłokiem dymu, żadna twarz podobna do doktora nie pokazała się wśród tego dymu; daremnie zamykał oczy, nikt po ich otwarciu nie siedział na taburecie, który umieścił po drugiej stronie stolika.

Upłynął tak tydzień.

Ósmego dnia, zniecierpliwiony Hoffman wyszedł z garkuchni godzinę wcześniej, niż zwykle, to jest około czwartej popołudniu, a przez Saint - Germain, l'Auxerrois i Luwr, dotarł machinalnie do ulicy Ś. Honorjusza.

Zaledwie tam stanął, spostrzegł wielki ruch powstający w stronie cmentarza des Innocents i szedł ku placowi Palais - Royal. Przypomniał sobie, co mu się zdarzyło nazajutrz po przybyciu do Paryża i poznał ten sam hałas, jaki go raz już uderzył podczas egzekucji pani Dubarry. Istotnie, były to wózki z więzienia Conciergerie, obładowane skazańcami, udające się na plac Rewolucji.

Wiadomo jaki wstręt miał Hoffman do tego widoku; więc też, ponieważ wózki te zbliżały się szybko, wpadł do kawiarni na rogu ulicy Prawa, odwracając się od okien, zamykając oczy i zatykając uszy, gdyż krzyki pani Dubarry brzmiały jeszcze w głębi jego serca. Potem, przypuszczając, że wózki już przejechały, obrócił się i z wielkim zdziwieniem spostrzegł zstępującego z krzesła, na którym stał dla lepszego widoku, przyjaciela swego, Zacharjasza Wernera.

— Werner! — zawołał Hoffman rzucając się ku młodzieńcowi, Werner!

— A! to ty — rzekł poeta — gdzieżeś ty był?

— Tam, tam — lecz z rękami na uszach, by nie słyszeć krzyków tych nieszczęśliwych; z oczami zamkniętymi, by nie widzieć.

— Ależ to niedobrze, mój drogi — rzekł Werner — jesteś przecież malarzem, a to cobyś widział, nastreczyłoby ci przedmiot do znakomitego obrazu. W trzecim wózku była kobieta, cud! powiadam ci, szyja, ramiona, a włosy! z tyłu ucięte, co prawda, ale z boków spadające do stóp.

— Czekaj — rzekł Hoffman — widziałem pod tym względem wszystko, co można widzieć najlepszego; widziałem panią Dubarry, i nie potrzebuję widzieć innych. Jeżeli kiedyś zapragnę zrobić obraz, wierzaj mi, ten oryginał wystarczy; wreszcie, ja nie chcę już malować obrazów.

— A to dlaczego? — zapytał Werner.

Zbrzydło mi malarstwo.

— Czy znowu jakie rozczarowanie?

— Mój kochany Wernerze, jeżeli ja zostanę dłużej w Paryżu, to zwaruję.

— Warjować będziesz nietylko tu, ale wszędzie; lepiej zatem w Paryżu, niż gdzieindziej, tymczasem powiedz mi, co cię przyprawia o warjację?

— O! mój drogi Zacharjaszu, zakochałem się.

— W Antonji, wiem, mówiłeś mi już.

— Nie. Antonja — rzekł Hoffman z pewnym dreszczem — Antonja, to co innego, ja ją kocham!

— Tam do licha! różnica to nader subtelna; opowiedzże mi. Obywatelu urzędniku, proszę o piwo i dwie szklanki.

Młodzieńcy nałożyli fajki i usiedli po obu stronach stołu najbardziej odosobnionego.

Tam Hoffman opowiedział Zacharjaszowi wszystko, co mu się wydarzyło od pierwszej bytności w Operze, gdzie widział tańczącą Arsenję, aż do chwili wypchnięcia go z buduaru.

— Cóż zatem? — zapytał po ukończeniu Zacharjasz.

— Jakto, cóż zatem? — powtórzył Hoffman niezmiernie zdziwiony, że przyjaciel nie bierze tego do serca, tak, jak on.

— Ja się pytam — rzekł Zacharjasz — co w tem wszystkim jest rozpaczliwego?

— To, mój kochany, że jak się przekonałem, tej kobiety nie można wziąć inaczej, tylko za cenę złota, czyli, że ja nie mogę mieć nadziei żadnej.

— A to dlaczego?

— Bo nigdy nie będę mógł rzucić jej pod nogi pięciuset luidorów.

— Czemużbyś ich mieć nie mógł? Ja przecież je miałem, nawet więcej, tysiąc, dwa tysiące luidorów.

— A skądże mam ich wziąć, u licha! — zawołał Hoffman.

— A z tego Eldorado, o którym ci mówiłem, u źródeł Paktolu, z gry, mój kochany.

— Z gry! — powtórzył Hoffman, drgnawszy. Wiesz przecież, żem przysiągł Antonji, że grać nie będę.

— Ej! — rzekł Zacharjasz Werner — wszakżeś też przysiągł, iż będziesz jej wierny.

Hoffman głęboko westchnął, i przycisnął medaljon do serca.

— Pójdź do domu gry, mój drogi! — mówił dalej Zacharjasz. — Tam, to bank, aż miło; to nie tak jak w Manheimie, albo Hamburgu, gdzie banki grożą pęknięciem przy kilku marnych tysiącach talarów. Miljon, mój bracie, miljon! Tam zdaje się zbiegła cała brzęcząca moneta Francji, niema tam tych obrzydliwych papierzyków, tych asygnat zdyskerydytowanych, na których traci się trzy czwarte wartości... piękne luidory, piękne dublony! Oto co jest. A co, czy chcesz zobaczyć?

I Zacharjasz dobył z kieszeni garść luidorów, które pokazał Hoffmanowi, a promienie ich przez zwierciadło oczu odbiły się aż w głębi mózgu młodzieńca.

— O! nie, nie, nigdy! — zawołał Hoffman, przypominając sobie jednocześnie przepowiednię starego oficera i prośbę Antonji — ja nigdy grać nie będę.

— To źle; przy szczęściu jakie miałeś, rozbiłbyś bank.

— A Antonja! Antonja!

— Ej, mój Teodorze, kto jej tam o tem powie, że grałeś, żeś wygrał miljon? Kto doniesie, żeś za dwadzieścia pięć tysięcy franków sprawił sobie uciechę ze swą piękną tancerką? Wierzaj mi, wróc do Manheimu ze swemi

975 tysiącami franków, a Antonja nie zapyta cię, ani gdzieś był, ani coś robił, i gdzieś podział resztę.

To mówiąc Werner powstał.

— Dokąd idziesz? — zapytał go Hoffman.

— Ja idę zobaczyć się z jedną kochanką moją, z damą Comedie - Francaise, która obdarza mnie swemi względami, i której ja odwzajemniam połową moich dochodów. Ja bo jestem poetą i zwracam się do teatru literackiego; ty jesteś muzykiem, czynisz wybór w teatrze śpiewającym i tańczącym. Życzę ci szczęścia w grze, kochany Teodorze, piękne ukłony pannie Arsenji. Nie zapomnij numeru banku, 113. Dowidzenia.

— Oh! — szepnął Hoffman — powiedziałeś mi go, i ja nie zapomniałem.

I znowu puścił przyjaciela, nie zapytawszy go o adres, jak i za pierwszym spotkaniem.

Lecz pomimo odejścia Wenera, Hoffman nie pozostał sam. Każde słowo przyjaciela stało się, że tak powiem, widzialne i dotykalne, błyszczało przed jego oczyma, szemrało w uszach.

Istotnie, gdzie miał pójść czerpać złoto, jeżeli nie u źródeł złota! Wszak to jedyne wyjście możliwe z żądz, do nasycenia niemożliwej. Rzeczywiście, Werner ma słuszość. Hoffman już i tak złamał część swojej przysięgi; cóż to znaczy teraz złamanie drugiej części?

Przytem i to mówił Werner, że tu nie chodzi o sto, dwakroć, lub trzykroć sto tysięcy ludorów. Materjalne widnokreśli pól, lasów, mórz, mają pewną granicę; widnokreśli zielonego stołu niema żadnej.

Duch gry jest jak szatan: posiada on władzę wynoszenia gracza na najwyższą górę ziemską i ukazywania mu stamtąd wszystkich królestw świata.

Nareszcie, cóż to za szczęście, radość, duma, kiedy Hoffman powróci do Arsenji, do tego samego buduaru, z którego wypędzono go! Jakąż wzgardą przygniecie tę kobietę i jej straszego kochanka, kiedy za całą odpowiedź na zapytanie: „czego tu chce?“, niby drugi Jowisz, spuści złocisty deszcz na piękną Danae.

I to nie już halacyacją jego umysłu, marzeniem jego wyobraźni, ale rzeczywistością, przynajmniej możliwością. Szanse jednakowe są za wygraną, ponieważ jak wiemy, Hoffman szczęśliwym był w grze.

Oh! ten numer 113, ze swą cyfrą gorejącą, jak on przyzywał Hoffmana, jak go wiódł, niby latarnia piekielna, do tej przepaści, w głębi której chciwość wyje, przevalając się po kupach złota!

Hoffman walczył przeszło godzinę przeciw najbardziej palącej ze wszystkich namiętności. Po godzinie, czując, że dłużej opierać się nie zdoła, rzucił piętnaście sou na stół, i pędem, nie zatrzymując się, dobiegł do placu Kwiatowego, wszedł do pokoju, zabrał trzysta pozostających talarów, i nie dając sobie czasu do namysłu, wskoczył do dorożki, wołając:

— Do pałacu Egalité!

ROZDZIAŁ XIV

N U M E R 113.

Pałac Królewski (Palais-Royal), nazywający się wówczas pałacem Równości, lub pałacem Narodowym — bo we Francji za najpilniejszy obowiązek mają sobie rewolucjoniści zmieniać nazwy ulic i placów, by je zwracać po restauracji — może pałac Królewski nie był wówczas tem, czem jest dzisiaj; ale ze strony malowniczej, nawet osobliwościowej, nie tracił nic, zwłaszcza wieczorem, w godzinę, gdy zajechał tam Hoffman.

Rozkład jego mało się różnił od dzisiejszego, z wyjątkiem, że co dziś się nazywa galerją Orleańską, zajęte było przez podwójną galerję z drzewa, mającą później ustąpić miejsca promenadzie o sześciu kolumnach doryckich, — że zamiast lip, były w ogrodzie kasztany, oraz, że tam, gdzie dziś jest wodozbiór, wówczas znajdował się cyrk. budynek ogromny, wyłożony grzędami pnących się roślin, opatrzone szybami, z wierzchem uwieńczonym mnóstwem krzewów i kwiatów.

Cyrk ten zajęty był ówczas przez „Przyjaciół Prawdy“, którzy tam dawali przedstawienia, otwarte dla prenumeratorów czasopisma „Usta żelazne“. Z numerem porannym w ręku, można było wejść wieczorem do tego przybytku rozkoszy, słuchać mów wszystkich stowarzyszonych, zebranych, jak mówili, w chwalebny cel popierania rządzących i rządzonych, ubezstronienia praw, wyszukiwania po wszystkich zakątkach ziemi jakiegoś przyjaciela prawdy, jakiejbądź narodowości, barwy, opinji, ażeby jak odkryje się prawda, ogłosić ją ludziom.

Jak widzicie, nigdy we Francji nie brak ludzi przekona-

nych, że do nich należy oświecać masy, bo reszta ludzkości to tylko gromada bezmyślna.

Cyrk jednakże miał rozgłos w pałacu Równości, wśród ogólnej wrzawy, i on także łączył swą część krzykliwą z wielkim koncertem powstającym codzień w ogrodzie.

Trzeba bowiem powiedzieć prawdę: w tych czasach nędzy, wygnania, grozy i proskrypcji, Palais-Royal stał się środowiskiem, do którego życie, tłumione codziennie w swych namiętnościach i walkach, nocą przychodziło szukać zadumy i zapomnienia właśnie tej prawdy, na poszukiwanie której wybierali się członkowie Koła społecznego i akcjonariusze Cyrku. Kiedy wszystkie dzielnice Paryża były ciemne i puste, kiedy wszystkie patrole złożone z dozorców dziennych, a katów jutrzejszych, uwijały się jak dzikie bestje za jakąkolwiek zdobyczą, kiedy około ogniska domowego jakiegoś przyjaciela lub krewnego, co umarł lub wyemigrował, pozostałe osoby szeptem wyrażały bóleści swe lub obawy, Palais-Royal promieniał, niby bożyszczę zła; oświetlał swoich sto osiemdziesiąt arkad, wystawiał swe klejnoty za szybami jubilerów, rzucał nareszcie poprzez nędzę ogólną swe stracone dziewczęta, lśniące brylantami, wytynkowane blanszem i różem, przyodziane tyle tylko, ile wymagała konieczność, w aksamit i jedwab, włóczące pod drzewami i po galerjach, swój iskrzący bezwstyd. W tym splendorze prostytucji była ostatnia ironja przeciwko przeszłości, ostatnia zniewaga wyrządzona monarchji.

Wystawienie tych istot na widok publiczny w strojach królewskich, było to rzuceniem błota po krwi na twarz owego nadobnego dworu kobiet zbytujących, których Marja Antonina była królową, a którą huragan rewolucyjny uniósł z Trianonu na plac gilotyny.

Teraz zbytek przeniósł się na dziewczęta najpodlejszego gatunku, a cnota musiała chodzić w łachmanach.

Była to jedna z prawd znalezionych przez „Koło Społeczne“.

Jednakże ten lud paryski, który dał tak potężny impuls światu, ten lud paryski, u którego, nieszczęściem, rozumowanie przychodzi zwykle po entuzjazmie, przez co nie ma on nigdy dość zimnej krwi dla przypomnienia sobie popełnionych głupstw, ten lud paryski, zubożały, odarty, nie zdawał sobie dobrze sprawy z filozofji owej antytezy i nie

ze wżgardą, ale z chciwością ocierał się o te królowe kałuż, o te ohydne majestaty występku. A kiedy ze zmysłami ożywionemi tem, co widział, z okiem w ogniu, chciał ponieść rękę ku tym ciałom należącym do wszystkich, które on przecież sam tak cudownie wystroił, żądano od niego złota, a gdy go nie miał, odpychano urągliwie. Tak to wszędzie szwankowała ta zasada równości, ogłoszona przez gilotynę, wypisana krwią, na którą miały prawo ze śmiechem plwać te prostytutki z Palais-Royal.

W takich dniach, jak owe, nadpobudliwość moralna loszła do tego stopnia, że dla rzeczywistości potrzeba było tych dziwnych przeciwieństw. Już to nie na wulkanie, a we wnętrzu wulkanu tańczono, a płuca nawykłe do siarki i lawy, nie zadowolilyby się już letniami woniami dawnych czasów.

Tak tedy Palais-Royal stawał co wieczór, oświetlając wszystko swym ognistym wieńcem. Kamienny stręczyciel, ryczał ponad wielkim grodem uśpionym:

— Oto noc, przybywajcie! Mam wszystko w sobie, majątek i miłość, grę i kobiety! Sprzedaję wszystko, nawet samobójstwo i mord. Wy, coście nie jedli od wczoraj, wy którzy płaczecie, przybywajcie do mnie; zobaczycie, jacyście bogaci, zobaczycie jak się śmiejemy. Jeśli macie sumienie, lub dziewczynę na sprzedaż, przychodźcie! Dostaniecie złota pełne oczy, sprośności pełne uszy; chodźcie będziecie pełnemi nogami w występku, zepsuciu i zapomnieniu. Przyjdźcie tu dziś wieczór, jutra możecie nie dożyć.

Tu tkwiła wielka racja. Trzeba było żyć tak, jak umierano wówczas: szybko.

I ludzie przybywali.

Pośród tego wszystkiego, miejscem najbardziej uczęszczanem była naturalnie sala gry. Tam można było znaleźć wszystko, czego potrzeba na resztę.

Z tych wszystkich więc gorejących otworów, numer 113 rzucał najwięcej światła przez swą czerwoną latarnię, przez to ogromne oko pijanego cyklopa, którego nazywano Pałacem-Równości.

Jeżeli piekło ma jaki numer, to musi być to numer 113.

O! przewidziano tam wszystko.

Na dole była restauracja; na pierwszym piętrze gra; pierś budynku obejmowała serce, to rzecz naturalna; na

drugiem piętrze było na co wyekspensować siły, jakich ciało nabrało na dole, pieniądze, jakie zyskała kieszeń na górze.

Wszystko było przewidziane tak, aby pieniądze z domu nie wyszły.

I do tego domu śpieszył Hoffman, poetyczny kochanek Antonji.

Numer 113 był tam, gdzie jest i dzisiaj, o kilka sklepów od domu Corcelet.

Zaledwie Hoffman wyskoczył z dorożki i wstąpił pod galerję pałacu, aliści obskoczyły go boginie miejscowe, dzięki cudzoziemskiemu ubraniu, które w owym czasie, jak i dziś, więcej w takich razach budzi zaufania, niż strój narodowy.

Gdzie jest numer 113? — zapytał Hoffman dziewczyny, która go wzięła pod rękę.

— A! to ty tam idziesz — rzekła Aspazja ze wzgardą. — Otóż tam, mój luby, gdzie świeci ta czerwona latarnia. Ale pamiętaj zachować dwa ludory i nie zapominaj o numerze 115.

Hoffman zapuścił się we wskazany korytarz i w minutę potem znajdował się w sali gry.

Panowała tam taka wrzawa jak na licytacji i prawda, że tam sprzedawano wiele rzeczy.

Salony świeciły pożyłą, żyrandolami, kwiatami, kobietami, które były piękniejsze, strojnniejsze i bardziej obnażone, niż te z dołu.

Hałas największy sprawiał brzęk złota. Było to bicie tego plugawego serca.

Hoffman pozostawił na prawo salę, gdzie grano trente-et-quarente, i przeszedł do sali rulety.

Około wielkiego stołu zielonego siedzieli rzędem grający, wszyscy zebrani w jednym celu, a z których żaden nie miał fizjonomji podobnej do drugiego.

Byli tam młodzi i starzy, byli tacy, których łokcie zużyły się na tym stole. Pomiedzy tymi ludźmi byli tacy, którzy stracili ojca w przeddzień, albo rano, albo nawet dziś wieczór, i których wszystkie myśli skierowały się ku obracającej się kulce. Bo co namiętności do gry nadaje większą siłę, niż innym, to, że nigdy nie mogąc się nasycić nigdy się ona nie nuży. Jest to kochanka obiecująca się

ciągle, nie oddająca się nigdy; zabija ona, ale się nie męczy.

Namiętność do gry jest histerją mężczyzny.

Gracz siedzi milczący. Słowo nie może mu służyć do niczego. Gra, wygrywa, przegrywa; to już nie człowiek, to machina. Poczóby miał mówić?

Gwar więc w salonach nie pochodził od graczy, ale od krupierów, zgarniających złoto i wołających:

— Faites vos jeux! (proszę stawiać).

W tej chwili Hoffman nie był już spostrzegaczem, namiętność pochłaniała go nazbyt; inaczej, miałby tam szereg studjów ciekawych.

Wcisnął się żywo między grających i stanął przy zębice stołu. Znalazł się tam pomiędzy stojącym mężczyzną w karmanioli, i siedzącym starcem, który ołówkiem rachował na papierze.

Starzec ten, całe życie spędziwszy na wyszukiwaniu kombinacji niezawodnej, zużywał ostatnie dni na wprowadzeniu jej w praktykę, a ostatnie pieniądze na przekonywaniu się o jej zawodności.

Pomiędzy głowami tych dwóch ludzi, ukazywały się głowy kobiet opartych o ich ramiona, które grzebały w złocie, a ze zręcznością nadzwyczajną, nie grając wcale, znajdowały sposób zarobienia czegoś na wygranej jednych, na przegranej drugich.

Człowiek w karmanioli rzucił pakiet papierów na jakiś numer.

— Pięćdziesiąt franków! — rzekł dla wejścia w grę.

— A to co takiego? — zapytał krupier przyciągając papiery grabką i biorąc je końcem palców.

— To asygnaty — odparł tamten.

— Nie macie, obywatelu, innych pieniędzy jak te? — zapytał krupier.

— Nie, obywatelu.

— To możecie ustąpić miejsca innemu.

— Dlaczego?

— Bo my tego nie bierzemy.

— Wszak to moneta rządowa?

— Tem lepiej dla rządu, jeśli się nią posługuje. My jej nie chcemy.

— Ano! — rzekł niedoszły gracz — śmieszne to pieniądze, których nawet przegrać nie można.

I odszedł, gniotąc asygnaty w rękę.

— *Faites vos jeux!* — zawołał krupier.

Hoffman grać lubił, wiemy o tem; ale na ten raz przyszedł on nie dla gry, lecz dla pieniędzy.

Gorączka, jaka go paliła, gotowała mu duszę w ciele, jak ogień gotuje wodę w naczyniu.

— Sto talarów na numer 26! — zawołał.

Krupier obejrzał monetę jak przedtem asygnaty.

— Idźcie zmienić — rzekł do Hoffmana — my bierzemy tylko pieniądź francuski.

Hoffman zbiegł jak szalony, poszedł do wymieniacza, który, jak się okazało, był także Niemcem, i wymienił swoje trzysta talarów na złoto, to jest na czterdzieści luidorów.

Przez ten czas ruleta obiegła trzy razy.

— Piętnaście luidorów na numer 26 — krzyknął biegnąc do stołu, i trzymając się z niepojętą zabobonnością graczy, tego numeru, zrazu wybranego przypadkowo, jako tego, na który chciał stawiać właściciel asygnat.

— *Rien ne va plus!* (nic już nie idzie) — krzyknął krupier.

Kulka się obróciła.

Sąsiad Hoffmana zgarnął dwie garście złota i rzucił je w kapelusz, który trzymał między kolanami, ale krupier zgrabiał piętnaście luidorów Hoffmana i wiele innych.

Przeszedł numer 16.

Hoffman uczył zimny pot występujący mu na czoło.

— Piętnaście luidorów na numer 26! — powtórzył.

Inne głosy powiedziały inne numery, i znowu obróciła się kółka.

Na ten raz wszystko poszło do banku, kulka stanęła na zerze.

— Piętnaście luidorów na numer 26! — ciszej rzekł Hoffman głosem zdławionym; ale niebawem poprawiając się dodał:

— Nie; dziesięć tylko.

I podjął jedną sztukę złota na ostatnią stawkę, ostatnią nadzieję.

Wyszedł numer 50.

Złoto zeszło ze stołu, jak woda po spuszczeniu stawu. Hoffman, który ledwie dyszał, a wśród uderzeń mózgu

widział szyderczą twarz Arsenji i smutne oblicze Antonji, kurczową ręką stawiał ostatni luidor na numer 26.

Gra obiegła w minutę.

— *Rien ne va plus!* — krzyknął krupier.

Płomiennem okiem ścigał Hoffman obiegającą kulkę, tak, jakby jego własne życie obiegało koło niego.

Naraz rzucił się wtył, głowę ukrywając w rękach.

Nietylko przegrał, ale nie miał ani grosika przy sobie i u siebie.

Jedna z będących tam kobiet, której względów można było przed minutą za 20 franków dostać, wydała okrzyk dzikiej radości i zgarnęła garść wygranego złota.

Hoffman byłby dał dziesięć lat życia za jeden z luidorów tej kobiety.

Ruchem prędszym od myśli obmacał i przetrząsnął kieszenie, by nie mieć najmniejszego powątpiewania o rzeczywistości. Kieszenie były zgoła puste, ale poczuł coś okrągłego, niby talar, na piersi i pochwycił go czempiędziej.

Był to medaljon Antonji, o którym zapomniał.

— Jestem ocalony! — zawołał; i rzucił złoty medaljon na numer 26, jako zastaw.

ROZDZIAŁ XV

M E D A L J O N

Krupier wziął medaljon i obejrzał go zbliska.

— Panie — rzekł do Hoffmana, bo pod numerem 113 jeszcze czasami używano wyrazu *pan* — idź to sprzedaj, jeżeli chesz; ale powtarzam, my bierzemy tylko złoto lub srebro w brzęczącej monecie.

Hoffman wziął medaljon i nie mówiąc ani słowa, wyszedł z salonu gry.

Przez czas, gdy schodził na dół, wiele myśli, wiele rad, wiele przeczuć brzęczało koło niego; ale on ogłuchł na wszystkie te podszepty i wszedł śmieło do wymieniacza, u którego przed chwilą dopełniał transakcji.

Poczcwiiec czytał sobie, wsparty na szerokim fotelu skórzanym, w okularach na końcu nosa, oświetlony niską lampą o promieniach białych, z którymi łączył się płowy odbłask sztuk złotych, spoczywających w przegródkach miedzianych; siedział poza delikatną siatką z zielonego drutu, stojącą w firanki z zielonego jedwabiu, oraz w drzwiczki nad stołem, dające przejście jednej tylko ręce.

Nigdy Hoffman tak nie uwielbiał złota. Ale jakaż to różnica tego złota od owego z pod numeru 113!

— Panie — odezwał się do współziomka — to ja, który tu przed chwilą wymieniałem talary na złoto.

— Tak, poznaję pana — rzekł wymieniacz.

— Pan jesteś Niemcem?

— Z Hajdelberga.

Hoffman tak się jednak w duszy wstydział tego co robi, że pomimo gorączki, nie przystępował do interesu odrazu, ale owijał go w peryfrazy.

— To ja tam odbywałem studja uniwersyteckie — rzekł na wzmiankę o Hajdelbergu.

— Śliczne miasto!

— Prawda!

Przez ten czas gorzała krew w Hoffmanie. Zdawało mu się, że z każdą minutą, jaką poświęca tej banalnej rozmowie, traci życie.

Podjął więc z uśmiechem:

— Myślałem, że jako współziomek, zechcesz mi pan wyświadczyć pewną przysługę.

— Jaką? — zapytał wymieniacz, którego twarz spochmurniała na ten wyraz.

Wymieniacz nie więcej lubi pożyczać niż mrówka.

— Żebyś mi pan pożyczył trzy luidory na ten medaljon.

Jednocześnie Hoffman podał medaljon kupcowi, który zważył go na szalkach.

— Czy nie wolałbyś pan go sprzedać? — zapytał.

— O! nie — zawołał Hoffman — nie, i to już wiele, że go zastawiam. Jeżeli mi nawet pan wyświadczy tę przysługę, prosić będę, abyś mi ten medaljon zachował z największą troskliwością, bo chodzi mi o niego więcej, niż o życie, a jutro po niego przysłę; trzeba tylko takiej okoliczności, w jakiej ja się znajduję, abym go zastawił.

— To pożyczę panu trzy luidory.

I wymieniacz z całą powagą, jaką uważał za właściwą w podobnej okoliczności, wziął trzy luidory i wyciągnął je pod linją przed Hoffmanem.

— O! dziękuję panu, stokroć dziękuję — zawołał poeta.

I porwawszy trzy sztuki złota umknął.

Wymieniacz w milczeniu zasiadł napowrót do czytania, złożwszy medaljon w zakątku szuflady.

Mniej temu to człowiekowi przysłoby do głowy ryzykować swoje złoto na owo z numeru 113.

Gracz tak bliskim jest świętokradztwa, że Hoffman rzucając pierwszą sztukę na numer 26, bo chciał stawiać tylko po jednej sztuce, wymówił imię Antonji.

Dopóki kulka obiegała, nie miał on wzruszeń; coś mówiło mu, że wygra.

Numer 26 wyszedł.

Hoffman promieniejący zagarnął trzydzieści sześć laidorów.

Natychmiast odłożył z nich trzy i wsunął w kieszonkę od zegarka, ażeby być pewny wykupienia medaljonu narzeczonej, imieniu której widać zawdzięczał tę pierwszą wygranę. Pozostawił trzydzieści trzy laidory na tym samym, i ten sam numer wyszedł; wygrywał zatem 36 razy po 33 laidory, czyli przeszło dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Wtedy Hoffman, czerpiąc pełnemi rękami w Paktolu i biorąc zeń garścią, grał na traf, pośród nieskończonego oszołomienia. Za każdą stawką zwiększała się kupa wygranej, nakształt góry nagle występującej z wody.

Miał już złota pełne kieszenie, miał je w surducie, w kamizelce, w kapeluszu, w rękach, na stole, wszędzie. Złoto płynęło przed nim z ręki krupierów, jak krew z szerokiej rany. Stał się Jowiszem wszystkich graczy nieszczęśliwych.

Stracił tym sposobem ze dwadzieścia tysięcy franków.

Zebrawszy nareszcie wszystko złoto, jakie miał przed sobą, kiedy czuł, że go ma dosyć, umknął, pozostawiając za sobą podziw i zazdrość wszystkich tych, co się tam znajdowali, i pobiegł w kierunku domu Arsenji.

Była godzina pierwsza w nocy; ale go to nie obchodziło.

Przychodząc z taką sumą, myślał, że każda godzina jest dobra, i że zawsze będzie dobrze przyjeżdżać.

Obiecywał sobie radość stąd, jak pokryje złotem całe to piękne ciało, które się przed nim odsłoniło, a martwe jak marmur wobec jego miłości, ożywi się przed jego bogactwem, niby statua Pigmaliona.

Miał wejść do Arsenji, wypróżnić kieszenie do ostatniej sztuki i powiedzieć: — Kochaj mnie.

Nazajutrz odjedzie, ażeby, jeśli można, uciec przed wspomnieniem tego snu gorączkowego.

Zastukałdo bramy Arsenji, jak pan wracający do własnego domu.

Drzwi się otworzyły.

Hoffman pobiegł pod peron schodów.

— Kto tam? — odezwał się głos odzwiernego.

Hoffman nie odpowiedział.

— Dokąd to idziesz, obywatelu? — powtórzył ten sam

głos, i cień okryty tak, jak się okrywają cienie nocy, wyszedł z łoży i pobiegł za Hoffmanem.

W tych czasach bardzo lubiano wiedzieć, kto wychodzi, a zwłaszcza, kto wchodzi.

— Idę do panny Arsenji — odrzekł Hoffman rzucając odźwiernemu kilka sztuk ludorów, za które przed godziną oddałby był duszę.

Legitymacja ta podobała się.

Panny Arsenji tu już niema, panie — odparł uważając nie bez słuszności, że trzeba tytuł obywatela zastąpić panem, gdy się ma do czynienia z człowiekiem tak łatwego obejścia. Kto żąda, może powiedzieć: obywatelu, ale kto bierze, powinien powiedzieć: panie.

— Jako! — zawołał Hoffman — Arsenji tu nie ma?

— Nie, panie.

— Chcesz powiedzieć, że nie wróciła tu jeszcze?

— Chcę powiedzieć, że nie wróci.

— Gdzież zatem jest?

— Nie wiem.

— Gwałtu! gwałtu — zawołał Hoffman.

Wziął głowę w obie ręce, jakby dla zatrzymania rozumu, który mu zdawał się zbiegać. Wszystko, co przeszedł od niejakiego czasu było tak dziwne, iż co chwila mówił: — No, cóż dostaję pomieszania zmysłów.

— Więc pan nie wie nowiny? — odezwał się odźwierny

— Jakiej nowiny?

— Pan Danton został aresztowany.

— Kiedy?

— Wczoraj. Zrobił to pan Robespierre. Co to za wielki człowiek, ten obywatel Robespierre!

— Więc co?

— To, że panna Arsenja musiała się schronić; bo jako kochanka Dantona, mogłaby być zamieszana do całej tej sprawy.

— To prawda. Ale jakże się schroniła?

— Ano, jak zwyczajnie, kiedy się kto boi, ażeby mu nie obcięto karku; pobiegła prosto przed siebie.

— Dziękuję, mój dobry człeku, dziękuję — rzekł Hoffman i znikł, zostawiwszy jeszcze kilka sztuk w rękę odźwiernego.

Na ulicy, Hoffman przemyślał nad tem, co ma zrobić, i do czego mu teraz służyć będzie wszystko to złoto;

gdyż, jak łatwo zgadnąć, myśl odnalezienia Arsenji, nie pozostała mu w głowie, a tem mniej myśl powrotu do domu i wypoczęcia.

Poszedł tedy i on prosto przed siebie, stukając obcasami po bruku ciemnych ulic, idąc na jawie w swym bolesnym śnie.

Noc była ciemna, drzewa ogołoczone i drżące pod wiatrem nocnym. Złódź biczowała twarze przechodniów nocnych, a w domach zbitych w jedną masę ciemną, gdzieś gdzieś zaledwo oświetlone okno dziurawiło mrok.

Dobrze jednak oddziaływało na Hoffmana to zimne powietrze. Dusza jego tajała w tym prędkim mroku, zaczadzenie moralne ulatniało się. W zamkniętej izbie byłby się udusił. Przytem, idąc wciąż przed siebie, może przypadkiem napotka Arsenję; kto wie. Uciekając, może poszła tą samą drogą, co on, wychodząc od niej.

Przebiegł tym sposobem przez pusty bulwar, przez ulicę Królewską, podniósł głowę, i stanął, spostrzegłszy, że idzie prosto na plac Rewolucji, na ten plac, gdzie zaprzyściągł sobie, iż nie pójdzie nigdy.

Jakkolwiek tym sposobem przez pusty bulwar, przez ulicę Królewską, podniósł głowę i stanął, spostrzegłszy, że idzie prosto na plac Rewolucji, na ten plac, gdzie zaprzyściągł sobie, iż nie pójdzie nigdy.

Jakkolwiek niebo było ciemne, ciemniejsza jeszcze sylwetka zarysowała się na widnokręgu czarnym jak atrament. Była to sylwetka ohydnej maszyny, której paszczę mokrą od krwi osuszał wiatr; spała ona, czekając na codzienne żniwo.

Toż w dziennej porze Hoffman nie chciał widoku tego placu; nie chciał tam się znajdować z powodu płynącej krwi, ale w nocy to inna rzecz. Dla poety w którym, bądź co bądź, instynkt poetycki nie zdrzemnął, zajmującą było rzeczą zobaczyć, dotknąć palcami w ciszy nocnej, tego przeklętego rusztowania, którego krwawy obraz musiał stać w obecnej chwili wielu ludziom na oczach.

Jestże piękniejszy kontrast? Wyszedłszy z sali wrzącej grą, wejść na ten plac pusty, którego wiekuistym gościem — szafot!

Szedł więc Hoffman ku gilotynie, jakby magnetyczną pociągnięty siłą.

Naraz, i prawie nie wiedząc, jak się stało, znalazł się

tuż naprzeciw niej. Wicher dał w deski. Hoffman założył ręce na piersi i patrzył.

Ileż to rzeczy musiało się narodzić w głowie tego człowieka, który z kieszeniami pełnymi złota, licząc na noc rozkoszną, spędzał samotnie tę noc naprzeciw szafotu!

Wśród tych myśli zdawało mu się, iż jakaś skaiga ludzka miesza się ze skargami wiatru.

Przechylił głowę naprzód i słuchał.

Skarga się ponowiła, wychodząc nie z oddali, lecz z dołu.

Spojrzał dookoła siebie i nie widział nikogo.

Jednakże trzeci jęk doszedł do niego.

— To jakby głos kobiety — rzekł sobie w duchu — i jakby wychodził z pod spodu tego rusztowania.

Schyliwszy się więc, by lepiej zobaczyć, zaczął obchodzić gilotynę dokoła. Gdy przechodził przed okropnymi schodami, nogą potracił o coś; wyciągnął ręce i dotknął istoty siedzącej na pierwszych stopniach, odzianej czarno.

— Kto jesteś, — zapytał Hoffman — co śpisz tu w nocy na stopniach szafotu?

I jednocześnie ukląkł dla zobaczenia twarzy tej, do której mówił.

Ale ona się nie poruszała, i z łokciami opartymi na kolanach, głowę ukrywała w rękach.

Pomimo nocnego zimna, ramiona miała prawie zupełnie nagie, i Hoffman mógł dojrzeć czarną linję, którą obwiedziona była szyja.

Tę linję zakreślał aksamitny naszyjnik.

— Arsenja! — zawołał.

— A tak! Arsenja! — szepnęła dziwnym głosem skulona kobieta podniósłszy głowę i patrząc na Hoffmana.

ROZDZIAŁ XVI

HOTEL PRZY ULICY Ś. HONORJUSZA

Hoffman odskoczył przerażony; pomimo głosu, pomimo twarzy, wąpił jeszcze. Ale podnosząc głowę, Arsenja opuściła ręce na kolana, i odchylając kołnierzyk, ukazała dziwną spinkę, brylantową, łączącą oba końce aksamitnego naszyjnika, błyszczącą w mroku nocnym.

— Arsenja! Arsenja! — powtarzał Hoffman.

Wstała.

— Co tu robisz o tej porze, Arsenjo — zapytał młodzieniec. Jakto! Ubrana w tę szarą suknię? Z nagiemi ramionami?

— Aresztowano go wczoraj — odrzekła Arsenja — przyszli aresztować i mnie, uciekłam jak stałam, a tej nocy, uważając, że pokój mój jest za szczupły, a łóżko za zimne, wyszłam i przybiegłam tu.

Słowa te wypowiedziała akcentem osobliwym, bez gestów, bez nagieć; wychodziły one z ust białych, otwierających się i zamykających, jakby za pomocą sprężyny; był to niby automat gadający.

— Ależ ty tu nie możesz pozostać, Arsenjo! — zawołał Hoffman.

— A gdzie ja pójdę? Tam, skąd przyszłam nie chcę wracać jaknajdłużej; tam okropnie zimno.

— To pójdz ze mną — rzekł Hoffman.

— Z tobą! — odparła Arsenja.

I zdawało się młodzieńcowi, że z tego zastygłego oka spadł na niego wzrok wzdzięty, podobny do tego, jakim go zdeptała w ślicznym buduarze z ulicy Hanowerskiej.

— Jestem bogaty, mam złoto! — zawołał Hoffman.

Oko tancerki rzuciło błyskawicę.

— Dobrze — odrzekła — ale dokąd?

— Dokąd?

Rzeczywiście, dokąd Hoffman miał zaprowadzić tę zmysłową zbytkownicę, która, po wyjściu z pałaców magicznych i czarodziejskich ogrodów Opery, nawykła deptać po perskich dywanach i spoczywać na kaszmirach indyjskich.

Nie do tego to studenckiego pokłiku mógł ją zaprowadzić; byłoby jej tam za ciasno i zimno, jak w owym nieznanem mieszkaniu, o którym tylko co mówiła, i gdzie tak bała się wrócić.

— Dokąd, istotnie? — zapytał Hoffman — ja nie znam zgoła Paryża.

— Ja ciebie zaprowadzę — rzekła Arsenja.

— Dobrze! dobrze! — zawołał Hoffman.

— Pójdź ze mną.

I w tejże samej postawie sztywnej i automatycznej, nie mającej nic wspólnego z tą czarującą giętkością, jaką Hoffman podziwiał w tancerce, poczęła iść przed nim.

Nie stanęło w myśli młodzieńcowi, by jej podać rękę; szedł za nią.

Arsenja poszła ulicą Królewską, nazywaną podówczas ulicą Rewolucji, skręciła na prawo w ulicę Ś. Honorjusza, i stanąwszy przed fasadą, zastukała.

Drzwi otwarły się natychmiast.

Odźwierny ze zdziwieniem spojrzął na Arsenję.

— Mów — rzekła do młodzieńca — bo mnie nie wpuszczą, i będę zmuszona wrócić pod gilotyne.

— Mój przyjacielu — rzekł żywo Hoffman przechodząc między Arsenją i odźwiernym — ja, mijając pole Elizejskie, usłyszałem wołanie o ratunek; przybiegłem na czas, by ocalić panią przed zabójstwem, lecz nie mogłem zapobiec odarciu. Proszę natychmiast o najlepszy pokój; rozpalić w nim dobry ogień i podać dobrą wieczerzę. Oto masz luidora dla siebie.

Rzucił luidora na stół, gdzie stała lampa, której wszystkie promienie zdawały się zestrzeliwać na iskrącej twarzy Ludwika XV.

Luidor złotem, była to wówczas gruba suma, wyobrażał on bowiem 825 franków w asygnatach.

Odźwierny zdjął czapkę i zadzwonił. Przybiegł na ten dźwięk numerowy.

— Prędkiej! prędkiej! pokój! najpiękniejszy w hotelu, dla pana i dla pani.

— Dla pana i pani — odezwał się zdziwiony numerowy, przynosząc wzrok z prostego ubrania Hoffmana na bardziej niż lekką odzież Arsenji.

— Tak — rzekł Hoffman — najpiękniejszy, a zwłaszcza, żeby był dobrze ogrzany i dobrze oświetlony; oto masz luidora dla siebie.

Numerowy doznał tego samego wzruszenia co odźwierny, zgiął się przed luidorem, wskazując na wielkie schody, w połowie zaledwie dla późnej godziny oświetlone, ale przez nadzwyczajny, jak na ową epokę zbytek, kobiercem wysłane.

— Proszę wejść na górę — rzekł — i poczekać przede drzwiami numeru trzeciego.

I znikł, puszczając się pędem.

Na pierwszym stopniu schodów zatrzymała się Arsenja.

Lekka sylfida zdawała się doznawać nieprzewyciężonej trudności w podnoszeniu nogi. Rzekłabyś, iż jej lekkie obuwie atlasowe ma podeszwy ołowiane.

Hoffman podał jej rękę.

Arsenja oparła się na podanem ramieniu młodzieńca, a lubo ten nie czuł nacisku jej ręki, uczuł zimno udzielające się jego ciału od niej.

Następnie, mocnym wysiłkiem, Arsenja wstąpiła na pierwszy stopień i dalsze; lecz każdy stopień wydierał jej westchnienie.

— Oh! biedna kobieta — rzekł z cicha Hoffman — jakżeś ty musiała cierpieć!

— O! tak — odparła Arsenja — bardzo... Cierpiałam niestychanie.

Przybyli pode drzwi numeru trzeciego.

I razem też prawie z niemi przybył numerowy, niosąc prawdziwy stos drzewa; otworzył drzwi od pokoju i w jednej chwili komin buchnął ogniem, światła zapłonęły.

— Głodnaś zapewne? — zapytał Hoffman.

— Nie wiem — odrzekła Arsenja.

— Proszę o najlepszą wieczerzę jaka może być! — zawołał do numerowego Hoffman. — Rozumiesz numerowy?

— Panie — zauważył tenże — teraz, nie mówi się numerowy, ale obywatelu urzędniku. Ale kiedy kto płaci, jak pan, może mówić jak mu się podoba.

I zadowolony z konceptu, wyszedł mówiąc:

— Wieczera za pięć minut!

Zamknąwszy drzwi za urzędnikiem, Hoffman chciwie rzucił oczy na Arsenję.

Tak jej było pilno zbliżyć się do ognia, że nawet nie przystawiła sobie krzesła do komina; usiadła tylko przed ogniskiem w tej samej pozycji, w jakiej zastał ją Hoffman pod gilotyną, i tam, z łokciami na kolanach zdawała się podtrzymywać oburącz głowę prosto na ramionach.

— Arsenjo! Arsenjo! — odezwał się młodzieniec — powiedziałem ci, że jestem bogaty, prawda? Patrz, a zobaczysz, że przed tobą nie skłamał.

Hoffman począł obracać kapelusz nad stołem; kapelusz pełen był luidorów pojedynczych i podwójnych, które spływały na marmur z tym dźwiękiem złota tak specjalnym i łatwym do odróżnienia między wszystkimi dźwiękami.

Po kapeluszu wypróżnił kieszenie; jedna po drugiej wysypały ogromną zdobycz jaką zyskał w grze.

Ruchoma i lśniąca góra ułożyła się na stole.

Przy tym dźwięku Arsenja zaczęła się ożywiać; odwróciła głowę, a wzrok dokonał wskrzeszenia zaczętego przez słuch.

Wstała, wciąż sztywna, ale blade usta uśmiechały się, szkliste oczy nabrały jasności i rzucały promienie krzyżujące się z odblaskami złota.

— O! czy to wszystko twoje?

— Nie moje, ale twoje, Arsenjo!

— Moje? — odezwała się tancerka.

I zanurzyła w górze kruszcu blade ręce, które utonęły w nim po łokcie.

Wtedy dopiero ta kobieta, której życiem było złoto, zdawała się nabierać życia za dotknięciem złota.

— Moje! — mówiła — moje!

A wyraz ten wymawiała akcentem brzmiącym i meta-

licznym, który w sposób dziwny kojarzył się z brzękiem łuidorów.

Weszli dwaj numerowi, niosący stół zupełnie zaopatrzone, którego omał nie upścili na widok tej góry bogactw rozrzucanych ręką młodej kobiety.

— Dobrze — rzekł Hoffman — proszę przynieść wina szampańskiego, i odejść.

Numerowi przynieśli kilka butelek szampańskiego i oleszli.

Za nimi zamknął drzwi Hoffman, i zasunął rygiełek

Potem, z oczyma gorejącemi żądzą, wrócił do Arsenji, którą zastał jeszcze przy stole, wciąż czerpiącą życie w tym źródłu Paktola.

— I cóż? — zapytał.

— To piękna rzecz, złoto! — rzekła, dawno go już nie dotykałam.

— Pójdź, posil się wieczerzą, a potem, o! Danae, możesz się kąpać w złocie, wiele zechcesz.

I pociągnął ją do stołu z wieczerzą.

— Zimno mi! — rzekła.

Hoffman spojrzeli dokoła siebie; okna i łóżko obciążone były czerwonym adamaszkiem; wyrwał jedną osłonę okienną i podał ją Arsenji.

Arsenja owinęła się kotarą, która, jakby sama przez się, ułożyła się nakształt fałdów starożytnego płaszcza, a pod tą draperją czerwoną, blade jej oblicze stało się jeszcze charakterystyczniejsze.

Prawie przestraszył się Hoffman.

Zasiadł przy stole, nalał sobie i wypił kilka kieliszków szampańskiego wina, raz po raz. Wtedy zdało mu się, że nieco koloru podchodziło pod oczy Arsenji.

Nalał jej wina; wypiała.

Chciał, ażeby coś zjadła; odmówiła.

Kiedy zaś Hoffman nalegał:

— Nie mogłabym przełknąć, — dodała.

— To pijmy.

Podawała kieliszek .

— Dobrze, pijmy, — powiedziała.

Hoffman czuł i głód i pragnienie; jadł więc i pił.

Pił nadewszystko; czuł, że potrzebuje śmiałości, nie iżby Arsenja, tak jak u siebie, chciała mu się opierać czy

to siłą, czy wzgardą, ale że coś lodowatego wyziewało z ciała pięknej tancerki.

W miarę, jak pił, Arsenja, w jego oczach przynajmniej, zdawała się ożywiać; tylko, gdy z kolei ona wychyliła kieliszek, kilka różowych kropli spłynęło z dolnej części aksamitnego naszyjnika na piersi tancerki. Hoffman patrzył, nie rozumiejąc; potem czując pod tem coś strasznego i tajemniczego, zwałczał dreszcze wewnętrzne mnożąc toasty do pięknych oczu, do pięknych ust, do pięknych rąk tancerki.

Ona dotrzymywała mu placu, pijąc tyleż, co i on, i zdając się ożywiać, nie winem, które piła sama, lecz winem, które pił Hoffman.

Naraz główia wypadła z komina.

Hoffman śledził oczyma kierunek palącej się główki, która zatrzymała się dopiero spotykając nogę Arsenji.

Zapewne dla ogrzania się, Arsenja ściągnęła pończochy i buciki; miała jej nóżka, biała jak marmur, spoczywała na marmurze trzonu, białym również jak noga, z którą zdawała się tworzyć jedność. Hoffman wydał okrzyk.

— Arsenjo! Arsenjo! — rzekł — uważaj!

— Na co? — zapytała tancerka.

— Głównia dotyka twojej nogi...

I istotnie, do połowy prawie zakrywała nogę Arsenji.

— Odejmij ją, — rzekła spokojnie.

Schylił się Hoffman, chwycił głównię, i spostrzegł z przerażeniem, że to nie żar sparzył nogę tancerki, ale noga jej zgasiła płomień.

— Pijmy! — rzekł.

Pijmy! — odparła Arsenja.

I podała kieliszek.

Wypróżniono drugą butelkę.

Jednakże Hoffman czuł, że mu nie wysarcza upojenie winem.

Spostrzegł fortepian.

— A, to dobrze! — zawołał.

Zrozumiał, jaki wyborny zasób fantazji nastrecza mu upojenie muzyczne.

Pod jego palcami powstała naturalnie nuta, po której Arsenja tańczyła owo pas-de-trois w balecie Parysa, gdy ją pierwszy raz widział.

Tylko zdawało się Hoffmanowi, że fortepian sam jeden wydaje odgłos podobny do całej orkiestry.

— A! jakże to dobrze! — zawołał Hoffman.

W tym dźwięku znalazł on upojenie, którego szukał; ze swej strony Arsenja powstała przy pierwszych akordach.

Akordy te, niby fala ognista, zdawały się obejmować całą jej osobę.

Odrzuciła od siebie kotarę z czerwonego adamaszku, i rzecz dziwna! jak w teatrze odbywała się zmiana magiczna niewiadomo w jaki sposób, tak i w niej nastąpiła zmiana; zamiast szarej sukni, zamiast ramion odartych z ozdób, ukazała się w stroju Flory, opływającym kwiatami, powlęczonym gazą, drgającym rozkoszą.

Hoffman krzyknął, potem podwajając energję, zdawał się piekielną wydobywać energję ze strun tego fortepiana, brzmiącego jak cała orkiestra.

Wtedy toż samo zjawisko zamieszała umysł Hoffmana. Ta ślaniająca się kobieta, stopniowo się ożywiająca, działała na niego powabem nieprzepartym. Za teatr wzięła całą przestrzeń oddzielającą fortepian od alkowy, a na czerwonym tle kotary, odcinała się, jak wizja piekielna. Ilekroć z głębi powracała ku Hoffmanowi, on podnosił się na krzesło; ilekroć oddalała się w głąb, Hoffman czuł się pociągnięty za nią. Nareszcie, bez wiedzy i woli muzyka, takt zmienił się pod jego palcami; grał już nie tę melodję, którą słyszał, ale grał walc; był to walc Bethovena *Il desio* (żądza); nasunął mu się pod palce, jak wyrażenie jego myśli. I Arsenja zmieniła takt; owinęła się naprzód koło ruchów, zbliżyła się do Hoffmana. Młodzieniec czuł jej zbliżenie, zrozumiał, że dotknie go ostatnim ruchem, i że wtedy siła wyższa od jego woli zmusi go wziąć udział w tym palącym walcu. Ogarnęła go żądza i przesrach. Nareszcie Arsenja przebiegając, wyciągnęła rękę, i dotknęła go końcem palców. Hoffman wyłał okrzyk, skoczył jakby tknięty iskrą elektryczną, rzucił się w trop tancerki, doścignął, objął ją w ramiona, w myśli dogrywając nuty przerwanej w rzeczywistości, przyciskając do serca to ciało, które odzyskało swą elastyczność, wciągając spojrzenia jej oczu, oddech jej ust, pożerając pożądliwie tę szyję, te ramiona.

Kiedy Hoffman rozbudził się nazajutrz, już wstał je-

den z tych ciemnych dni zimowych paryskich, i przeni-
kał aż do łoża przez zdartą kotarę okienną.

Wtedy przypomniał sobie wszystko, chwycił kandelabr,
gdzie się paliło jeszcze pięć świec, a przy podwójnem
świecie dnia i świec spostrzegł, że Arsenja jest nierucho-
ma, biała i oczy ma zamknięte.

Pierwszą jego myślą było, iż znużenie przemogło mi-
łość, żądzę, wolę, i że młoda tancerka zemdliała. Wziął
ją za rękę, ręka była lodowata; szukał bicia serca, serce
nie biło.

Wtedy okropna myśl przebiegła mu przez głowę; chwy-
cił za sznurek od dzwonka, który zerwał się w jego ręce;
potem pobiegł do drzwi, otworzył, i sunął się po schod-
dach, wołając:

— Ratunku! Pomocy!

Mały, czarny człowieczek wstępował właśnie w tej
chwili na schody, kiedy zbiegł z nich Hoffman. Podniósł
głowę; Hoffman krzyknął. Poznał doktora z Opery.

— Ah! to ty, kochany młodzieńcze, — rzekł doktor,
zkolei poznając Hoffmana; — cóż tu się stało? poco
ten hałas?

— Chodź pan, prędkiej! — rzekł Hoffman nie myśląc
tłumaczyć lekarzowi, czego odeń żąda, i spodziewając się,
że widok Arsenji obumarłej objaśni mu to lepiej, niż sło-
wa, — prędkiej, panie!

I wciągnął go do pokoju.

Potem, prowadząc do łóżka, a drugą ręką biorąc kan-
delabr, który podniósł do twarzy Arsenji:

— Patrzaj pan, — rzekł.

Ale doktor, zamiast się przestraszyć, rzekł:

— A! to pięknie z twojej strony, młodzieńcze, bardzo
pięknie, żeś wykupił to ciało, aby nie zgniło w jeneralnym
dole... Bardzo, bardzo pięknie!

— To ciało... — bąknął Hoffman, — wykupione... je-
neralny dół... Co pan mówisz?

— Ja mówię, że nasza biedna Arsenja, aresztowana
wczoraj o ósmej rano, osądzona była o drugiej po poł-
udniu, a o czwartej zgilotynowana.

Hoffman myślał, że dostanie pomieszczenia zmyłków;
chwycił doktora za gardło.

— Zgilotynowana o godzinie czwartej! — krzyczał du-
sząc się sam; — Arsenja zgilotynowana!...

I wybuchnął śmiechem, ale śmiechem tak okropnym, tak przeraźliwym, tak dalekim od wszelkich modulacji śmiechu ludzkiego, że doktor zwrócił na niego oczy wystraszone.

— Wątpisz pan o tem — rzekł.

— Jakto! — zawołał Hoffman, — czy wątpię? spodziewam się. Ja wieczerałem z nią, tańczyłem walca, nocowałem z nią...

— W takim razie, jest to wypadek osobliwy, który ja zamieszczę w rocznikach medycyny, — rzekł doktor, — a pan podpiszesz protokół, wszak tak?

— Nie mogę podpisywać, ponieważ zaprzeczam, i powiadam, że to jest niepodobieństwem, że to nie istniało.

— A! powiadasz pan, że to nie istniało, — rzekł doktor, powiadasz to mnie, lekarzowi więziennemu, który czyniłem wszystko dla jej ocalenia, a nie mogłem; mnie, który ją pożegnał przy wózku! Powiadasz pan, że to nie istniało! Zaczekajże!

Wyciągnął rękę, nacisnął brylantową sprężynkę, służącą za spinkę do aksamitnego naszyjnika i pociągnął ku sobie aksamit.

Hoffman wydał okrzyk przeraźliwy. Nie podtrzymywana jedynym węzłem łączącym ją z ramionami głowa zgilotynowanej spadła z łóżka na ziemię i zatrzymała się aż przy nogach Hoffmana, jak owa głownia przy nodze Arsenji.

Młodzieniec okskoczył wstecz, i wybiegł na schody rycząc:

— Ja zwarzowałem!

Okrzyk Hoffmana nie miał nic przesadnego: ta słaba przegroda, która u poety, ćwiczącego nadmiernie swe władze mózgowe, odgraniczając wyobraźnię od obłąkania, zdaje się czasami gotowa pęknąć, trzeszczała w jego głowie z łoskotem walącego się muru.

Ale w owej epoce nie można było długo biec pędem po Paryżu, nie powiedziawszy dłaczego się biegnie. Paryżanie stali się bardzo ciekawi miłościwego lata 1793; a i'e-kroć ktoś biegł pędem, zatrzymywano go dla dowiedzenia się, za kim biegnie lub kto biegnie za nim.

Zatrzymano więc Hoffmana naprzeciwko kościoła Wniebowzięcia, z którego zrobiono kordegardę, i zaprowadzono do naczelnika stacji.

Tam Hoffman zrozumiał rzeczywiście niebezpieczeństwo, jakie mu grozi; jedni mieli go za arystokratę biegnącego zagranicę; inni wołali, że to agent Pitta i Coubourga. Niektórzy krzydzeli: na latarnię go! co wcale nie było wesołe. Drudzy krzydzeli: do trybunału rewolucyjnego! co było jeszcze mniej wesołe. Z pod latarni można było jeszcze niekiedy uciec, świadkiem ksiądz Maury; z trybunału rewolucyjnego, nigdy.

Wtedy Hoffman próbował wyjaśnić wszystko co mu wydarzyło się wczorajszego wieczora. Opowiedział grę, wygraną. Jak z kieszeniami pełnemi złota poszedł na ulicę Hanowerską, jak nie zastał już tam kobiety, której szukał, jak party dręczącą go namiętnością, biegał po ulicach Paryża, a przechodząc przez plac Rewolucji zastał tam kobietę siedzącą na skraju gilotyny, jak go ona zaprowadziła do hotelu S. Honoré, a tam po nocy spędzonej wśród upojeń, znalazł w objęciach kobietę nie tylko umarłą lecz z uciętą głową.

Wszystko to było nieprawdopodobnem, to też nie uwierzono opowiadaniu Hoffmana: fanatycy prawdy, mówili, że kłamie, umiarkowani, że cierpi pomieszanie zmysłów.

Gdy się to działo, jeden z obecnych objawił rozsądne zdanie:

— Mówisz, żeś przepędził noc w jednym z hoteli przy ulicy Honoré?

— Tak.

— Wypróżniłeś tam kieszenie pełne złota na stół?

— Tak.

— Wieczerzałeś tam i nocowałeś z kobietą, której głowa, spadając do twych nóg, sprawiła ci ten wielki przestrasch, żeś uciekał, sam nie wiedząc gdzie?

— Tak.

— Pójdziemy więc do hotelu; może nie znajdziemy już tam złota, ale znajdziemy kobietę.

— Tak! tak! — krzydzeli wszyscy, — chodźmy, szukajmy!

Hoffman byłby wolał nie szukać; ale musiał ulec ogromnej woli, streszczonej w tym wyrazie, szukajmy.

Wyszedł więc z kościoła ku ulicy S. Honoré, i szukał.

Odległość od kościoła Wniebowzięcia do ulicy tej nie była wielka. Daremnie jednak szukał Hoffmana, zrazu niedbale, następnie z większą uwagą, potem naresz-

cie z usilnością, nie mu nie przypominało hotelu, do którego wszedł w nocy i wyszedł zrana. Jak te zaczarowane pałace, znikające, gdy maszynista już ich nie potrzebuje, hotel z ulicy S. Honoré znikł po tej odegranej w nim piekielnej scenie, jaką próbowaliśmy opisać.

Wszystko to atoli nie zaspakajało uliczników towarzyszących Hoffmanowi, którzy chcieli koniecznie jakiegoś rozwiązania w nagrodę za ich fatygę; a rozwiązaniem tem mogło być tylko odkrycie trupa Arsenji, lub aresztowanie Hoffmana, jako podejrzanego.

Ale ponieważ nie znajdowano ciała Arsenji, silnie obstawano za uwięzieniem Hoffmana, kiedy ten naraz spostrzegł na ulicy małego, czarnego człowieka i wezwał go na pomoc, wzywając jego świadectwa o prawdzie zeznań, jakie uczynił.

Głos lekarza ma zawsze wielką powagę wśród tłumów. Ten wymienił swój zawód i pozwolono mu przystąpić do Hoffmana.

— Ah! biedny młodzieniec! — rzekł biorąc go za rękę jakoby dla zbadania pulsu, lecz w rzeczywistości dla dania mu znaku, by nie zaprzeczał temu, co powie, — biedny chłopiec, więc on się wydobył?

— Wydobył, skąd? z czego? — zawołało dwadzieścia głosów obecnych.

— Tak, skądem ja się wydobył? — zapytał Haffinan, który nie chciał przyjmować środka ratunku poddawanego przez doktora, uważając go za poniżający.

— Skąd? — rzekł doktor, — oczywiście z zakładu.

— Z zakładu! — zawołały też same głosy, — a z jakiego zakładu?

— Z zakładu obłąkanych.

— Doktorze! doktorze! — zawołał Hoffman, — proszę nie żartować.

— Nieszczęśliwy! — wykrzyknął doktor.

— O! tak, tak, — rzekł Hoffman, — kochałem ją, ale nie tak, jak Antonję.

Biedny chłopiec, odezwało się kilka kobiet, które już zaczęły litować się nad Hoffmanem.

— I odtąd, — mówił doktor dalej, — cierpi straszliwą halucynację. Zdaje mu się, że gra, zdaje mu się, iż może posiadać tę, do której się zapalił; potem ze złotem w kieszeniach obiega ulice; następnie spotyka kobietę u stóp

gilotyny, sprowadza ją do wspaniałego pałacu, do jakiego wytwornego zajazdu, gdzie przepędza noc w upojeniach muzycznych, tanecznych, miłosnych; poczem, zastaje ją umarłą. Czy nie to on wam opowiadał, obywatele?

— Słowo w słowo, — ryknął tłum.

— A więc! a więc — odezwał się Hoffman z okiem iskrzącem, — powiecie, iż to nie jest prawdą, doktorze, wy, coście odpięli spinkę brylantową zamykającą naszyjnik aksamitny. Oh! ja powinienem był zaraz czegoś się domyśleć, spostrzegłszy wino szampańskie sączące się z pod naszyjnika, albo spadła na jej nogę głownię płonąca, która zamiast ją przypiec, sama od jej nogi zgasła.

— Widzicie, widzicie, — rzekł doktor z oczyma pełnemi litości i głosem żalonym; otóż powraca mu szal.

— Jako szal! — wykrzyknął Hoffman; — jak śmiecie mówić, że to nieprawda! Śmiecie mówić, że nie nocowałem z Arsenją, która była gilotynowana wczoraj. Śmiecie mówić, że jej aksamitny naszyjnik nie był jedyną rzeczą, która jej głowę utrzymywała na ramionach! Śmiecie mówić, że gdyście otworzyli spinkę i odjęli naszyjnik, głowa nie spadła na kobieriec! Cóż znowu, doktorze, wiecie dobrze iż wszystko co mówię, jest prawdą.

— Czcigodni obywatele, — rzekł doktor. — wszak teraz chyba nie macie żadnej wątpliwości!

— Ależ tak! tak! — krzyknęło sto głosów z tłumu

Ci z obecnych, którzy nie krzyczeli, melancholijnie potakiwali głową na znak przyznania.

— A więc, — odezwał się doktor, — kaźcie podjechać dorożce, abym go odwiózł.

— Dokąd to — krzyknął Hoffman; — dokąd macie mnie odwieźć?

— Dokąd? — rzekł doktor, — ano do domu obłąkanych, skądś się wydobyl, mój przyjacielu.

Potem dodał cicho:

Nie wzbraniaj-że się, do licha! inaczej nie odpowiadam za ciebie. Ci ludzie pomyślą, żeś sobie z nich zakpił i rozszarpią w kawałki.

Hoffman westchnął i opuścił ręce.

— Widzicie teraz, — mówił dalej doktor, — znowu spokojny, jak jagnię. Napad przeminął... Tak, tak, spokojnie, mój przyjacielu, ucisz się...

I doktor zdawał się ręką uspokajać Hoffmana, jak magnetyzerzy usmierzają dzikie konie, lub psy rozjuszone. Przez ten czas sprowadzono dorożkę.

— Siadaj prędko, — szpnął doktor do Hoffmana.

Hoffman wsiadł; wszystkie jego siły zużyły się w tej walce.

— Do Bicêtre! — zawołał głośno doktor, siadając z Hoffmanem.

I znowu cicho dodał do młodzieńca:

— Gdzie chcesz, żebym cię wysadził?

— Przed pałacem Równości — z ciężkością wykrztusił Hoffman.

— Ruszaj kłusem, — rzekł doktor do woźnicy.

Potem skłonił się tłumowi.

— Niech żyje doktor! — krzyknął tłum!

Gdy tłum zostaje pod naciskiem jakiegoś roznamiętnienia, zawsze musi krzyczeć, albo niech kto żyje, albo, niech zginie.

Przed Pałacem Równości (Palais-Royal) doktor zatrzymał dorożkę.

— Bądź zdrow, młodzieńcze, — rzekł do Hoffmana, — a wierzaj mi, odjedź czemprowadzaj do Niemiec; nie dobry jest pobyt we Francji: dla osób z taką wyobraźnią, jak twoja.

I wysadził z dorożki Hoffmana, który oszołomiony jeszcze wszystkim, co mu się wydarzyło, szedł prosto pod wóz nadjeżdżający szybko z przeciwnej strony, który mógłby go być rozbić, ale wtem inny nadchodzący młodzieniec nagle zatrzymał go za rękę w chwili, gdy ze swej strony woźnica wysiłał się dla powstrzymania koni.

Dorożka z doktorem odjechała w bok.

Dwaj młodzieńcy wydali razem jeden okrzyk:

— Hoffman!

— Werner!

Widząc stan obezwładnienia w jakim znajdował się jego przyjaciel, Werner wciągnął go do ogrodu w Pałacu Royal.

Wtedy wszystko co zaszło, żywo stanęło w pamięci Hoffmana, i przypomniał sobie medaljon Antonji zastawiony u wymieniacza.

Krzyknął rozpaczliwie, sądząc, że wypróżnił wszystkie kieszenie na marmurowym stole hotelu. Jednocześnie

wszakże przypomniał sobie, że dla wykupienia tego medaljonu odłożył osobno trzy luidory i schował je do kieszeni od zegarka.

Kieszonka wiernie dochowała wkładu; znalazł tam te trzy luidory.

Hoffman wyrwał się z rąk Wenera, prosząc, by na niego zaczekał i pobiegł w kierunku kantoru wymiany. Za każdym krokiem zdawało mu się, że wychodzi z jakiejś gęstej atmosfery, przebija się przez mgłę coraz rzadszą i zbliża ku atmosferze czystszej i promiennej. Zatrzymał się przede drzwiami kantoru, dla odetchnienia; dawna wizja, wizja nocy prawie znikła. Wytchnął przez chwilę i wszedł.

Wymieniacz był na swoim miejscu, ważki mosiężne również.

Na odgołs wchodzącego, wymieniacz podniósł głowę.

— Aha! — rzekł, — to wy, mój współziomku; przyznam się, myślałem, że już się z wami nie zobaczę.

— Spodziewam się, iż nie dlatego mi to powiadacie, żeście rozporządzali moim medaljonem! — zawołał gorączkowo Hoffman.

— Nie, przyrzekłem go przechować, i choćby mi kto zamiast trzech, dawał dwadzieścia pięć luidorów, nie byłby ten medaljon wyszedł z mego kantoru.

— Oto są wasze trzy luidory, — rzekł nieśmiało Hoffman, — ale przyznam się, iż nie mam ani grosza do opłacenia procentu.

— Procentu za jedną noc, — rzekł wymieniacz, już znowu żartujecie. Jakżebym brał procent za noc i to od współziomka!

Oddał mu medaljon.

— Dziękuję, — rzekł Hoffman; a teraz — rzekł dalej z westchnieniem, — muszę poszukać pieniędzy na powrót do Manhejmu.

— Do Manhejmu, — rzekł wymieniacz, — aha! jesteście z Manhejmu?

— Nie, panie, ale mieszkam tam, mam tam narzeczoną, która oczekuje na mnie, ażeby pójść ze mną do ślubu.

— Aha!

Kiedy już młodzieniec miał rękę na klamce wymieniacz spytał:

— Czy znacie tam mojego starego przyjaciela starego muzyka?

- Bogumiła Murra? — zawołał Hoffman.
— Właśnie. Znacze go?
— Spodziewam się, toż to córka jego jest moją narzeczoną.
— Antonja! — zawołał z kolei wymieniacz.
— Tak, Antonja, — odrzekł Hoffman.
— Jakto, młodzieńcze i to dla zaślubienia jej jedziesz do Manhejmu?
— Tak.
— To zostańcie w Paryżu, bo droga wasza będzie daremna.
— Dlaczego?
— Oto list od jej ojca, który mi oznajmia, że przed tygodniem, o trzeciej godzinie po południu, Antonja umarła nagle, grając na arfie.

Było to właśnie w dniu, w którym Hoffman poszedł do Arsenji, dla zrobienia jej portretu; było to o tej samej godzinie, w której wycisnął pocałunek na jej nagim ramieniu.

Hoffman drżący, zgnębiony, otworzył medaljon by przycisnąć usta do portretu Antonji, ale słoniowa kość stała się przez ten czas tak biała i czysta, jakby na niej nigdy nie pozostał pędzel malarza.

Nic więc z Antonji nie pozostało Hoffmanowi podwójnie niewiernemu, nawet obraz tej, której wieczną przysiągł miłość.

W dwie godziny potem, Hoffman w towarzystwie Wenera i pocziwego wymieniacza, siadł do dylizansu, jadącego do Manhejmu, dokąd przybył w sam czas, by odprowadzić na cmentarz zwłoki Bogumiła Murra, który unierając po córce, polecił, aby go pochowano obok Antonji.

K O N I E C

SPIS RZECZY.

Rozdział I. Rodzina Hoffmana	7
Rozdział II. Zakochany i szaleniec	12
Rozdział III. Mistrz Bogumił Murr	19
Rozdział IV. Antonja	28
Rozdział V. Przysięga	34
Rozdział VI. Rogatka Paryska w 1793 roku	42
Rozdział VII. Jako Muzea i Biblioteki były pozamykane, i jako otwarty był Plac Rewolucji	51
Rozdział VIII. Sąd Parysa	59
Rozdział IX. Arsenja	66
Rozdział X. Drugie przedstawienie „Sądu Parysa“	75
Rozdział XI. Piwiarnia	82
Rozdział XII. Portret	89
Rozdział XIII. Kusiciel	96
Rozdział XIV. Numer 113	102
Rozdział XV. Medaljon	109
Rozdział XVI. Hotel przy ulicy Ś. Honorjusza	115